EPOKA

ROK V. Warszawa, 15 grudnia 1938 r. ROK V Nr 35 (138)

18 GRUDNIA

Zamieszczamy poniżej artykuł wybitnego szermierza demokracji i humanizmu D-ra Stanisława Więckowskiego, prezesa łódzkiego okręgu Stronnictwa Demokratycznego. Artykuł ten wyjaśnia, dlaczego Stronnictwo Demokratyczne idzie w wyborach samorządowych razem z P. P. S. i klasowymi związkami zawodowymi.

Organizująca się we własnym stronnictwie demokracja polska stanęła w obliczu wyborów w chwili swych narodzin jako grupy ukonstytuowanej. Wielu ludzi wciąż jeszcze nie chce wiedzieć o aszym istnieniu, dla innych znów jesteśmy jakoby czyimś cieniem czy mgławicą. Niechaj tak myślą! Niewątpliwie kadry ścisłej organizacji stronnictwa rozwijają się stopniowo. Zasięg naszej sieci nie rozszerza się gwałtownie po powierzchni nurtu życia. To prawda. Staramy się umocować ją na dnie. Jak dotychczas — nie nadaremnie. Natomiast ludzie przywykli od wielu lat do rozumowania kategoriami polityki, powiedzmy, realnej — nie bardzo zrozumieć mogą po co mieliby zbliżać się do nas. — Ani zyskać tu nic nie można ani obawiać się nas nie trzeba. — Więc po co?

Słusznie. Zgadzamy się tym chętniej, że pomimo wszystkiego co możnaby przeciw temu powiedzieć, przepełnione bywają sale naszych zebrań, odczyty nasze przyciągają tysiące słuchaczy, lokal nasz — tak niedawno dopiero otwarty — nie świeci pustkami nigdy. Więc gdy tylu ludzi interesuje się naszą ideologią i pragnie kontaktu z nami to może nie bylibyśmy całkowicie osamotnieni także w dniu wyborów gdybyśmy wystąpili z własną listą kandydatów. Dlaczego tego nie robimy?

Otóż niewątpliwie nie dlatego byśmy czyimkolwiek cieniem byli, albo też nie cenili należycie samodzielności naszej organizacji. Względy podobne mogłyby być kiedyindziej istotne. Dzisiaj sytuacja zmusza nas do operowania innymi kategoriami, do wyjścia z zaścianka do koalicyjnego działania na reducie demokracji.

Przegrupowanie sił na płaszczyźnie naszego życia zbiorowego zmierza wyraźnie do powstania dwóch tylko wielkich bloków ideologicznych. Jednego, który obejmie obóz zoologicznego nacjonalizmu i reakcji społecznej, przesłoniętej zresztą nieraz pseudo-radykalnie brzmiącymi hasłami i drugiego, który łączyć winien świat pracy a w nim wszystkich ludzi dla których ani poszanowanie wolności człowieka ani przywiązanie do ogólnoludzkich ideałów humanitaryzmu, obiektywnego prawa i sprawiedliwości — nie są „oznaką ginących ras".

Jesteśmy przedstawicielami pewnych sfer ludzi pracujących, wysoce cenimy walory indywidualizmu i uniwersalizmu, widzimy w nich dwa ramiona Ducha ludzkiego, które wypielęgnowały cywilizację świata. Nacjonalizm jest według nas paroksyzmem choroby pozytywnych i twórczych uczuć patriotycznych. Czyż byłoby do pomyślenia, byśmy, stojąc na takich podstawach ideowych, nie uszeregowali się dzisiaj, w momencie rozpoczynającej się rozgrywki sił faszyzmu i demokracji, ramię przy ramieniu obok tych, którzy świata pracy polskiej i ofiarnego patriotyzmu polskiego od pół wieku prawie są czołowymi przedstawicielami? Obok P.P.S.!

Stronnictwo demokratyczne jako odrębna, o własny program opierająca się organizacja polityczna, będzie w przyszłości niewątpliwie odmiennymi nie-

jednokrotnie kroczyć drogami niż Polska Partia Socjalistyczna. Na dzisiaj jednak i na jutro najbliższe mamy cel wspólny.

Jeśli obserwatorowi stosunków panujących w życiu naszym wydawałoby się, że stronnictwo reakcji nacjonalistycznej toczące od chwili swego założenia tj. od 40 z górą lat nieprzerwaną walkę z obozem postępu i demokracji o duszę Narodu — przegrało w niej wszystkie bitwy a wojnę pomimo to wygrało — byłby to jednak sąd, pomimo wszelkie pozory, bardzo powierzchowny. Ci co zasłużyli tak rzetelnie na uznanie z ust reakcjonisty rosyjskiego, który patrząc na objawy ich uległości w Dumie petersburskiej z uśmiechem pochwalał ich mówiąc: bat to jednak dobra rzecz, ci sami, którzy później skompromitowali się jeszcze sto razy jako odpowiedzialni za swoje czyny obywatele i wtedy gdy bojkotowali legiony Józefa Piłsudskiego i gdy uciekali z broniącej się przed wrogiem Warszawy i gdy kopali grób dla pierwszego Prezydenta Polski — ci degeneraci naszego ducha i odszczepieńcy od naszych tradycyj — nie zawładną nigdy duszą Polski. Tysiąc lat naszych dziejów politycznych stworzyło Naród Polski, ukształtowało jego duszę, wysubtelniło jego sumienie.

Można łatwo zarazić się gorączką od chorego sąsiada. Istoty swej natury nie zmienia szybko ani człowiek pojedyńczy ani naród. Nie byliśmy nigdy narodem raubritterów, nie panowało u nas nigdy Prawo Pięści. I dzisiaj chcemy na własnych, nie na obcych wzorach kształtować nasze życie. I dla tego musi znaleźć się w Polsce odpór przeciw zalewowi fali faszyzmu i dla tego wysiłek demokracji, której zadaniem jest kontynuować wielkie tradycje naszych dziejów, musi być zwarty i jednolity.

Powierzchnia naszego życia publicznego pokryta gruzem z rozbitych urządzeń i instytucji demokratycznych, powleczona jest, jakby siecią pajęczą co z dusz zakłamanych lub zastraszonych sączy się jak z organu owadów, by nas otoczyć i omotać sztucznym jakimś woalem według obcych niepolskich tkanych wzorów. Światło jasnego dnia słonecznego załamując się jak w pryzmacie w oczkach tej sieci zabarwia nam pole widzenia na brunatno. Świat otaczający widzimy jakby cudzymi oczami, zaczynamy go ujmować inaczej niż go widział Kościuszko, Mickiewicz, Traugutt... Obce, niepolskie kryteria uczymy się stosować do oceny ludzi i zjawisk. Od wrogów naszych zaciętych zapożyczać chcemy kanony życia zbiorowego. Jest nawskroś paradoksalny w istocie swojej ten najnowszy nasz nacjonalizm tak wybitnie obcy polskiemu duchowi i tradycji polskiej, tak wyraźne necechowany złowróżbnym znakiem „made in Germany".

Razem z całą demokracją polską jesteśmy przekonani, że najbardziej palącą koniecznością dnia dzisiejszego jest wspólny zbiorowy wysiłek, aby rozerwać pęta złowieszczej sieci. Gdy w życiu naszym publicznym hasła najreakcyjniejsze wydają się bliskim tryumfu, gdy głośno mówić już można o tym, by część obywateli naszych tylko na zasadzie pochodzenia pozbawić równych z innymi praw, wtedy, zaiste, nie czas myśleć o ochronie integralności partyjnej. Wtedy musimy zwierać szeregi, jednoczyć wysiłek, by zmorę faszyzmu odpędzić precz z polskiej ziemi, która nie była nigdy ojczyzną prawa mocniejszego i nie zechce nią zostać i nadal. I dla tego idziemy do wyborów razem z Polską Partią Socjalistyczną.

DR. STANISŁAW WIĘCKOWSKI

W pierwszą rocznicę śmierci
ANDRZEJA STRUGA

Dnia 9 grudnia upływa rok od chwili, kiedy Andrzej Strug, Wielki Pisarz Polski walczącej i pracującej, zamknął oczy na zawsze. Trwałym pomnikiem, jaki Strug wzniósł sobie własnym wysiłkiem twórczym, jest Jego wielki dorobek piśmienniczy, pozostawiony w spuściźnie żyjącemu i przyszłym pokoleniom.

Pisma Andrzeja Struga powinny stać się duchowym chlebem powszednim jak najszerszych rzesz polskiego ludu pracującego. Będą z nich czerpać naukę, jak żyli, walczyli i umierali owi bezimienni bohaterowie podziemi, którzy, spełniając obowiązek twardej służby, burzyli mur niewoli i budowali zręby Niepodległej, Wolnej Polski. ów epos nieznanego żołnierza rewolucji i niepodległości powinien trafić do izby robotnika polskiego, pod strzechy chłopa polskiego.

Tam też winna dotrzeć wieść o życiu twórcy owego eposu: dzieje pięknego żywota Andrzeja Struga, niezłomnego człowieka i wzorowego obywatela, niech się staną przykładem do naśladowania dla mas ludu polskiego.

Wydanie wyboru pism Wielkiego Pisarza, poprzedzonego Jego życiorysem oraz rozbiorem twórczości artystycznej, będzie najlepszym, gdyż wypływającym z istoty pracy życiowej Struga, uczczeniem Jego pamięci.

To też utworzony w tym celu Komitet postawił sobie za pierwsze zadanie spopularyzowanie dzieła Pisarza przez wydanie wyboru Jego pism wraz z życiorysem, obejmującym zarówno działalność i pracę twórczą w zakresie sztuki, jak i na polu społecznym oraz politycznym. Nie wyczerpuje to zamiarów Komitetu, który wyda w następstwie plakietę z podobizną Zmarłego oraz utworzy fundusz stypendialny Jego imienia dla literatów polskich.

Nie wątpiąc, że w drodze ofiarności publicznej najszerzych kół, czczących Szlachetną Pamięć Andrzeja Struga, uzyska się niezbędne na takie wydawnictwo fundusze, Komitet przystępuje z ufnością do podjęcia tej pracy.

Ofiary należy przekazywać na konto Nr 27.185 w P.K.O. Komitetu Uczczenia Pamięci Andrzeja Struga.

Za Komitet Uczczenia Pamięci Andrzeja Struga

Wydział Wykonawczy
(—) Stanisław Thugutt
(—) Gen. Mariusz Zaruski.

Do przyjacół Epoki

PROSIMY O PODANIE NAM ADRESÓW OSÓB, KTÓRYM NALEŻY PRZESŁAĆ NUMERY OKAZOWE EPOKI.

Dekada polityczna

„Czego chcą oni?" Przed niespełna piętnastu dniami „Frankfurter Zeitung" ogłosiła niezwykle ciekawy, zasadniczy artykuł, p. t. „Świat po Monachium". Artykuł ten zasługuje na tym większą uwagę, że „Frankfurterka", własność znanego trustu chemicznego I. G. Farben należy do najbardziej ostrożnych i „umiarkowanych" gazet Trzeciej Rzeszy, a autor artykułu, naczelny redaktor pisma i wyborny dziennikarz jeszcze przedhitlerowskiej szkoły, R. Kircher, posiada świetne stosunki w berlińskim Auswärtiges Amt.

Artykuł zaczyna się przedstawieniem potęgi Niemiec po podboju Czechosłowacji. Rzesza stała się praktycznie niedosięgalną — taką jest zasadnicza, zresztą zgoła wątpliwa, jeżeli idzie o stan rzeczywisty, myśl tego wstępnego ustępu. „Żadne wzmożenie zbrojeń Francji, Anglii i Ameryki nie może zmienić tego podstawowego strategicznego faktu. Następny etap wzmocnienia naszej pozycji (chodzi o podbój całego basenu naddunajskiego) jeszcze bardziej uniezależni nas od ewentualnej blokady". Tak głosi triumfalnie p. Kircher. Nie wyjaśnił, coprawda, dlaczego blokada przecież położyła Niemcy w roku 1918, kiedy wojska Rzeszy stały przecież również w Azji Mniejszej, kiedy gubernator niemiecki rządził w Bukareszcie, a panowanie „Hetmana Ukrainy", niemieckiej kukły Skoropadzkiego sięgało Donu...

Ustaliwszy w ten sposób potęgę Rzeszy i sprzymierzonych z nią Włoch, stwierdza Kircher, że nic nie zatrzyma Niemcy działając w pełnym porozumieniu zachodnie mogą mimo to zabezpieczyć sobie pokój, jeśli będą „rozumne" i uznają nowy stan rzeczy i następujące jego konsekwencje:

„Po pierwsze, trzeba uznać, że to Niemcy działają w pełnym porozumieniu z Włochami, posiadają odtąd pełną definitywną hegemonię na Południowym Wschodzie Europy.

„Po drugie, trzeba uznać, że wzrost pozycji kontynentalnej Rzeszy nie oznacza bynajmniej, by ona zrezygnowała ze swych praw do posiadłości zamorskich i kolonialnych".

„Po trzecie, trzeba uznać, że oba te fakty są do pogodzenia z wielką światową pozycją Wielkiej Brytanii i z pomyślnością potęgi kolonialnej i kontynentalnej Francji".

„Po czwarte trzeba uznać, że wielki wspólnik Rzeszy, faszystowskie Włochy, muszą stać się mocarstwem dominującym na Morzu Śródziemnym. Pretensje angielskie do wpływów na Morzu Śródziemnym, na Morzu Czerwonym i na Oceanie Indyjskim, są ograniczone przez naturalne prawa silnych Włoch".

„Po piąte, Francja, której komunikacje z Afryką nie wymagają ochrony, gdyż mogłyby być zagrożone jedynie przez nierozsądną politykę z jej strony, musi zrozumieć, że stosunek sił na Morzu Śródziemnym i na Wschodzie Europy nie może już być zmieniony przy pomocy sojuszów."

„Krótko mówiąc, status quo, panujący dotąd w Europie musi ustąpić miejsca zupełnie nowemu stanowi rzeczy. To trzeba uznać jako fakt nieodwołalny".

Wreszcie Kircher wysuwa jako pierwszą ratę tego nowego stanu rzeczy, żądanie kolonii dla Niemiec. Wysuwa je narazie, jako „zagadnienie prawa". Ale zaraz dodaje: „Gdyby nam tego prawa odmówiono, wówczas zagadnienie prawa zmieniłoby się w zagadnienie siły".

Warto zapamiętać sobie, nawet odłożyć sobie na bok te wynurzenia p. Kirchera. Jeśli się nie mylimy, będziemy z nimi mieli sporo do czynienia w najbliższym czasie.

Przemycona deklaracja. Dyskretnie, niezwykle dyskretnie odbyło się podpisanie deklaracji francusko-niemieckiej. P. Ribbentrop wysiadł na jednym z najmniejszych dworców Paryża, gdzie zwykle nigdy nie zatrzymują się pociągi dalekobieżne. Otoczony ze wszystkich stron policją przemykał szybko, niewidoczny dla publiczności, ulicami. Zdaje się, gospodarze nie byli zbyt pewni, czy lud Paryża nie sprawi zbyt entuzjastycznego przyjęcia drogiemu gościowi...

Treść deklaracji jest znana i — nic nie mówiąca. Nikt oczywiście nie może mieć nic przeciwko temu, że, zasadniczo, Niemcy uznają raz jeszcze granicę francusko - niemiecką, nie chcą wojny z Francją i obiecują z nią pertraktować w każdej spornej sprawie. Problem trudniejszy, to problem „podszewki" pertraktacji, problem tego, co mówiono, ale czego nie ogłoszono.

Szczegół pierwszy: deklaracja podpisana została wbrew wyraźnej prośbie prezydenta Roosevelta, skierowanej do rządu francuskiego. Prezydent — jak donosi prawicowy, redagowany przez OO. Jezuitów, „Choc" — zwrócił się do ambasadora francuskiego w Waszyngtonie z prośbą o odsunięcie daty podpisania deklaracji o kilka tygodni. PP. Bonnet i Daladier uznali za stosowne przejść do porządku dziennego nad tą prośbą.

Szczegół drugi: bezpośrednio po podpisaniu deklaracji „Völkischer Beobachter" dał kompetentną dla stanowiska niemieckiego, autorytatywną jej interpretację: deklaracja tyczy się wyłącznie granic europejskich. O ile idzie o kolonie, to Niemcy uważają się nadal za prawowitych właścicieli swych dawnych kolonii. To znaczy: Niemcy w deklaracji zagwarantowały, jeśli idzie o kolonie, jedynie te granice, które dzieliły posiadłości niemieckie i francuskie w 1914 r. To znaczy, dodajmy już od siebie, Niemcy nadal żądają od Francji kolonii.

Szczegół trzeci: półurzędowy „Temps" w dniu podpisania deklaracji oświadczył że Francja nie może zrezygnować ze swych interesów w Europie Wschodniej i Południowo - Wschodniej, oraz że uważa swój obecny stan posiadania w koloniach za nietykalny. Jedno i drugie, jak wiemy, jest w sprzeczności z poglądami niemieckimi.

W sumie: przemycona wizyta p. Ribbentropa zdaje się nie wyjaśniła niczego. Oba mocarstwa pozostają na swoich pozycjach. Deklaracja pozostaje na papierze. Jej jedynym skutkiem jest pewne dalsze ochłodzenie stosunków pomiędzy aktualnym rządem francuskim a Sowietami, ochłodzenie zresztą datujące się od Monachium. Polityka „monachijska" na razie nie dała żadnych owoców.

Nic dziwnego, że w tym samym dniu, b. min. Duff Cooper wygłasza w Paryżu, frenetycznie oklaskiwany, odczyt o konieczności obrony przed totalistycznym naporem, odczyt na którym m. in. zjawili się czołowi przedstawiciele partii radykalnej z b. min. spraw zagranicznych Yvonem Delbosem na czele...

Tunis i Korsyka. „To jest przekleństwo złego czynu, że coraz nowe zło on rodzi" — te słowa niemieckiego poety, przychodzą na myśl, kiedy trzeba mówić o demonstracjach antyfrancuskich we Włoszech. Włochy uważają, że czas im także zebrać owoce z monachijskiego drzewa. Słusznie wskazuje prasa włoska, że Monachium było dopiero początkiem nowego układu sił w Europie, że trzeba wyciągnąć dalsze wnioski z przesunięcia sił, jakiego one było wyrazem.

Na jedno trzeba zwrócić odrazu uwagę: oto trzeba a priori odrzucić insynuacje, pochodzące z niektórych kół, jakoby akcja włoska była robiona bez zgody, a nawet wbrew woli Niemiec. Na

wiele dni przed mową hr. Ciano i towarzyszącymi jej wystąpieniami posłów włoskich i organizacji faszystowskich, „Frankfurter Zeitung" i „Hamburger Fremdenblatt", oba pisma, szczególnie bliskie Wilhelmstrasse, wskazały na Tunis i Korsykę, jako na „naturalne przedłużenie półwyspu apenińskiego", niesłusznie zabrane Włochom przez Francję. Jeśli w przede dniu wizyty p. Ribbentropa, prasa niemiecka zachowywała się nieco dyskretniej — co zresztą nie przeszkadzało jej kwalifikować n. p. francuskich kontrdemonstracji, jako „żydowsko-komunistycznej imprezy" — to zaraz po powrocie ministra niemieckiego z Paryża, prasa niemiecka już jawnie wystąpiła z poparciem pretensji włoskich.

Gdyby zresztą nawet było inaczej, sam skład demonstrantów wskazywałby na niemiecką inspirację. Prym w kampanii irredentystycznej w stosunku do Korsyki wiedzie „Il Telegrafo di Livorno", dziennik, należący do rodziny Ciano, rodziny włoskiego ministra spraw zagranicznych, znanego jako najściślejszy sympatyk Berlina w Rzymie. Drugi filar tej kampanii to Roberto Farinacci, wódz rasistowskiego skrzydła faszyzmu, przyjaciel od serca p. Streichera. Właśnie germanofile włoscy podjęli kampanię antyfrancuską. Nawet w zgłaszaniu swych imperialnych pretensji Włochy słuchają dyktatu niemieckiego.

Cuda na Zakarpaciu. Cenę za poparcie niemieckie przeciwko Francji Włochy zapłaciły zresztą z góry: w monecie naddunajskiej. Prasa reakcyjna, tak skora do cytowania faszystowskich wynurzeń, dziwnym milczeniem pominęła passus mowy min. Ciano, dotyczący sprawy, szczególnie blisko nas obchodzącej: Zakarpacia.

P. min. Ciano przede wszystkim obszernie omówił arbitraż wiedeński, który dokonał wiwisekcji Zakarpacia, traktując ten arbitraż jako jeden z dowodów pokojowej roli osi w Europie Środkowej. „Co się tyczy późniejszych wypadków na Karpackiej Ukrainie — stwierdził następnie dosłownie — istnieje zupełna zgodność poglądów pomiędzy obu państwami. Niemcy i Włochy są zdania, że granica, którą dwadzieścia dni temu ustalono i uroczyście uznano, nie może być poddana dyskusji". Zwróćmy uwagę, że p. min. Ciano zaakceptował nietylko istotę poglądów Berlina w tej kwestii, ale także terminologię „Karpacka Ukraina", przeciwko której do ostatniego czasu tak zażarcie się bronił.

Mając zapewnione zaplecze włoskie, a co za tym idzie, i spokój od strony Węgier, Rzesza zabiera się do rozbudowy na wielką skalę pozycji karpackiej. W Huszcie urzęduje już cały sztab niemieckich instruktorów, rozbudowuje się gorączkowo, pod kierownictwem oficerów niemieckich i O. U. N.-owców z Polski, „Sicz", bojówka faszystów ukraińskich. Zjeżdżają emigranci ukraińscy z całego świata. W „Geopolitik" dobrze poinformowanym piśmie hitlerowskich specjalistów polityki zagranicznej, sam p. gen. Haushofer rozpisuje się o znaczeniu Zakarpacia jako kolebki Wielkiej Ukrainy.

Zakarpacie dostało już nowego wodza. Jest nim książę Razumowski, obszarnik z nad Dniepru, niezwykle bliski chłopom i drwalom karpackich dolin. W obficie udzielanych wywiadach oświadcza ten wybitny emigrant petlurowski, że zgłosi on, imieniem narodu ukraińskiego, najdalej do czerwca przyszłego roku, pretensje do wszystkich ziem, zamieszkałych przez Ukraińców. Z nami jest naród ukraiński i Adolf Hitler — oświadcza butnie jego książęca mość. Co do tego pierwszego mamy pewne wątpliwości. To drugie zgadza się na pewno z prawdą.

W tej sytuacji szczególnie zabawnie wypadła interpelacja sejmowa znanego autorytetu z „Jutra Pracy", p. posła Dudzińskiego, który nagle dopatrzył się na Zakarpaciu... rządów żydowsko - komunistycznych. Albo albo. Albo Komintern zawarł jakiś tajny sojusz z Hitlerem dla wspólnego utworzenia — kosztem w dużym stopniu Sowietów — faszystowskiej Wielkiej Ukrainy, albo p. poseł pisał interpelację w jakimś dziwnym stanie umysłu. Bo jakże inaczej mógłby on pominąć wobec polskiej opinii publicznej fakt, że to właśnie tak uwielbiana przezeń Trzecia Rzesza próbuje siać niepokój na południowej granicy Rzeczypospolitej?...

Rumunia odpiera napór Trzeciej Rzeszy Osobno zajmujemy się wewnętrzno - polityczną stroną morderstwa — bo inaczej trudno nazwać to „zastrzelenie podczas ucieczki" — naczelnego agenta Berlina w Rumunii, Zelea Codreanu.

Jak się jednak okazuje, morderstwo to zostało poprzedzone niezwykle intensywną akcją terorystyczną Żelaznej Gwardii. W czasie podróży londyńskiej króla Karola dokonano w Rumunii około 30 zamachów bombowych. Widać kierownictwo Żelaznej Gwardii obawiało się panicznie ostrego antyniemieckiego zwrotu rumuńskiej polityki zagranicznej. Reżym rumuński, niezdolny do odparcia agentów Trzeciej Rzeszy apelem do mas ludowych, musiał chwycić się wobec tego niezwykle ostrych środków represyjnych. Zdaje się, że w całym kraju odbywają się masowe areszty i że dalsze „zastrzelenia w czasie ucieczki" znajdują się na porządku dziennym.

Niemcy oczywiście nie chcą się pogodzić z rozbiciem swych rumuńskich adherentów. Grożą więc „gniewem ludu" i powtórzeniem eksperymentu hiszpańskiego. Ciekawe światło na ten gniew ludu rzuca drobny, ale charakterystyczny fakt: oto w Bukareszcie aresztowano, za posiadanie i kolportowanie materiałów Żelaznej Gwardii, niejakiego Franza Schoflera, redaktora węgierskiego organu hitlerowskiego „Magyar Luptok". P. Schofler jest, jak widać, równocześnie węgierskim i rumuńskim nacjonalistą. A równocześnie, sądząc po nazwisku, ma w sobie sporo krwi niemieckiej...

Nikt z demokratów nie może solidaryzować się z autokratycznym reżymem rumuńskim, walczącym ze swymi przeciwnikami metodami, godnymi Trzeciej Rzeszy. Ale ze stanowiska polskiej racji stanu życzyćby należało Rumunii, aby odparła ona napór Trzeciej Rzeszy i pozostała, przynajmniej w tym stopniu, w jakim to się dzieje dzisiaj, samodzielnym państwem, zdolnym do współpracy z Rzeczpospolitą.

Burza nad Kłajpedą. W tym samym czasie, kiedy na południowych krańcach Rzeczypospolitej Trzecia Rzesza uruchamia swe „korpusy posiłkowe", na przeciwległym krańcu rusza do ataku drugi oddział szturmowy Niemcy kłajpedzcy.

Wybory kłajpedzkie przyniosły triumfalne zwycięstwo Niemcom. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro od wielu tygodni w Kłajpedzie rządził niemiecki dyrektoriat, który pozbawił praw wyborczych około 10 tysięcy Litwinów, Żydów i niemieckich demokratów, a bojówkom hitlerowskim nadał prawa „policji pomocniczej". „Nasza ojczyzna musi się stać znowu niemiecką. Jesteśmy Niemcami i duch narodowo - socjalistyczny ożywia nasze czyny"—oto oświadczenie kierownika Niemców kłajpedzkich, dra Neumanna, skazanego niedawno jeszcze na śmierć za spiski antypaństwowe i morderstwa przeciwników politycznych. Można sobie wyobrazić, jak rozpocznie działać nowa „neumannowska" większość parlamentu kłajpedzkiego.

Czy reżym litewski, obcy własnemu ludowi, potrafi przeciwstawić się naporo-

wi potężnego sąsiada? Narazie na uniwersytecie kowieńskim rozpoczęły się, po raz pierwszy od szeregu lat, rozruchy antysemickie. Znak czasu i znak polityki. Konik antysemicki to ulubiona szkapa tych, którzy właśnie w danej chwili, kapitulując wobec Trzeciej Rzeszy, zdradzają najważniejsze interesy własnego narodu. Kto o tym wątpi, niech spojrzy na Pragę i Bratysławę.

Nowa większość pana Daladiera.

P. Daladier, dwukrotny kapitulant, raz — przed laty — przed własną reakcją, drugi raz — we wrześniu — przed Trzecią Rzeszą, tym razem stanął przed parlamentem i zwyciężył. Otrzymał większość głosów, utrzymał się przy władzy mimo, że sprzeniewierzył się wszystkiemu, co jeszcze niedawno uważał za nienaruszalne i święte.

Nowa większość p. Daladiera to większość bloku prawicowego. Nie brak w niej gratulanta hitlerowskiego Flandina, nie brak stypendystów Trzeciej Rzeszy spod znaku Doriota, nie brak wreszcie faszystów de la Rocque'a. Brak w niej za to sporej części składu jego własnej partii. Około jednej trzeciej części posłów radykalnych głosowało przeciw Daladierowi, albo wstrzymało się od głosowania. Większość jest zresztą słaba, nie przekracza — przy uwzględnieniu abstynencji — kilkunastu głosów. Toteż są tacy którzy rządowi p. Daladiera nie wróżą więcej ponad kilka tygodni żywota.

Co do nas wolelibyśmy być ostrożni. Losy p. Daladiera zależą od losów Chamberlaina słabnie nadal. „Groźbą dla nadal wielką niewiadomą.

Atak na Chamberlaina trwa

W każdym razie nie ulega kwestii, że pozycja Chamberliana słabnie nadal. „Groźbą dla bezpieczeństwa Imperium" nazwała niedawno jego politykę edenowska „Yorkshire Post", własność Bennetów, głównych akcjonariuszy Westminster Bank. Zaatakował premiera w niezwykły dotąd sposób, odmiawiając mu wprost jakiejkolwiek zdolności przewidywania, niezmordowany Churchill. Jeden z członków gabinetu, Earl de la Warr, wystąpił ostro przeciwko Niemcom i, widocznie pod naciskiem wewnątrz - gabinetowej opozycji, Chamberlain był zmuszony poprzeć go specjalnym oświadczeniem w Izbie Gmin. Zdaje się, że swoboda ruchów Chamberlaina, który osobiście pozostaje nadal zaciekłym zwolennikiem polityki monachijskiej, została poważnie ograniczona.

Najwięcej poruszenia wywołała w Anglii tajemnicza rozmowa króla angielskiego z przywódcami Labour Party, w salonach lorda Baldwina. Oficjalnie podaje się jako przyczynę tej rozmowy chęć króla poznania czołowych działaczy jego opozycji. Ale zdaje się, że rozmawiano tam nie koniecznie tylko o gatunku whisky, którą podał swym gościom przyjaciel Edena stary lord Baldwin...

Tajemnica podróży Edena.

Jeszcze bardziej zagadkowo przedstawia się sprawa podróży b. min. Edena do Stanów Zjednoczonych. Eden stoi, jak wiadomo w ostrej opozycji do polityki zagranicznej Chamberlaina, występuje przeciwko niej na wiecach, ostatnio na wiecu w Londynie oświadczył, że pertraktować z Niemcami w chwili obecnej, to nie tylko upokorzenie, ale i głupota. Oczywiście, że i polityk opozycyjny może odbyć podróż zamorską.

Ale jak wytłumaczyć, że nagle lord Halifax oświadcza w Izbie Lordów, że Eden jedzie do Nowego Jorku „za zgodą i aprobatą rządu Wielkiej Brytanii", że w parę dni później, choć o wiele mniej serdecznie, z mocno kwaśną miną, powtarza to samo w Izbie Gmin p. Chamberlain, potwierdzając, że o audiencję u prezydenta Roosevelta dla Edena prosił sam ambasador Wielkiej Brytanii?

Wiele znaków na niebie i na ziemi wskazuje, że wpływowe koła konserwatywne mają już dość p. Chamberlaina i Monachium. Kto wie, czy od wyniku rozmów, jakie Eden odbędzie w Waszyngtonie nie zależy nowa orientacja polityczna Wielkiej Brytanii?

REŻYM, KTÓRY SIĘ BOI SKAZAŃCÓW

W języku hitlerowskiej Gestapo istnieje dobrze już znany i wypróbowany termin: *auf der Flucht erschossen*. „Zastrzelony w chwili, gdy usiłował zbiec".

Korneliusz Codreanu wraz z 13 towarzyszami został zastrzelony „przy próbie ucieczki". Powiedzmy poprostu: W tchórzliwy, bestialski sposób zamordowano 14 bezbronnych więźniów. W kilka dni później ten sam los spotkał jeszcze 3 bojówkarzy Żelaznej Gwardii, sprawców morderczego zamachu na rektora uniwersytetu w Cluj.

Stosunek nasz do Żelaznej Gwardii i jej zamordowanego „wodza" jest dobrze znany czytelnikom i przyjaciołom naszego pisma. Jeszcze w ostatnim numerze „Epoki" zwracaliśmy uwagę na faszystowską akcję tej berlińskiej agentury, która stanowi zbrojne ramię Trzeciej Rzeszy na terenie Rumunii. Codreanu i jego podkomendni bombą, nożem, brauningiem i żagwią za berlińskie pieniądze torowali niemieckiemu imperializmowi drogę do ujarzmienia własnej ojczyzny, gotowali jej los Czechosłowacji. Byli prawdziwą Targowicą rumuńską. Nie darmo prasa faszystowska i hitlerochwalcza w Polsce apoteozuje teraz Codreanu jako bohatera „narodowego", stawiając go za wzór swym zwolennikom. W porządku.

Ale cóż powiedzieć o istniejącym w Rumunii reżimie, który w walce z swymi przeciwnikami musi się chwytać tak ohydnych metod, budzących odrazę w każdym uczciwym, nie zdeprawowanym przez faszyzm człowieku? Codreanu i jego zamordowani towarzysze działali na zgubę Rumunii, mordowali jej ministrów, profesorów, chcieli rzucić swoją ojczyznę pod nogi Hitlera. Trzeba było postawić ich przed sądem. Państwo praworządne, którego sternicy mają i czują oparcie we własnym narodzie, nie potrzebuje chwytać się takich metod, jakich użyto w stosunku do żelaznogwardzistów! Tylko reżim doszczętnie przegrany i osamotniony w społeczeństwie musiał posunąć się do krwawej, haniebnej rzezi więźniów, którzy raz byli już zasądzeni i od tej chwili znajdowali się w murach więziennych pod „opieką" sprawiedliwości. Źle musi być z reżimem, który boi się publicznego sądu nad swymi wrogami, z reżimem, który boi się skazanych na dożywotnie zamknięcie więźniów!

Rumunia ma rząd faszystowski typu t. zw. autoratywnego. Krajem tym rządzi kamaryla dworska — oparta jedynie o zdyskredytowany aparat cywilno-wojskowy, zupełnie wyobcowany z narodu i niezdolny do stawienia poważniejszego oporu groźnej nawale hitlerowskiej. Demokracja rumuńska została zlikwidowana w imię „odpartyjnienia" i „odpolitycznienia" — czy jak tam — życia publicznego. „Uzdrowiono" to życie tak gruntownie, że reżim nie ma się na kim oprzeć, bo odepchnął od siebie wszystkich, zarówno Rumunów, jak i bardzo liczne w tym kraju mniejszości narodowe. Co gorsza, chcąc wytrącić hitleryzmowi broń z ręki, nie wymyślił rząd patriarchy (!) Mirona nic mądrzejszego, jak kopiowanie „ideologii" i praktyki hitlerowskiej. Rozwiązał partie, pozawieszał prasę niezależną, rozgromił organizacje demokratyczne i zawodowe, setki i tysiące działaczy demokratycznych uwięził. Nic dziwnego, że stać go tylko na mordowanie swych bezbronnych chwilowo przeciwników. Ale taki reżim nie uratuje niepodległości kraju przed zaborczym naporem niemieckiego imperializmu!

Tylko demokracja rumuńska może wydobyć z narodu i rzucić do walki w obronie niepodległości wszystkie żywe i twórcze siły społeczeństwa.

Henri de Kérillis

Odpowiednikiem francuskim grupy Churchill — Eden — Cooper jest Henri de Kérillis wydawca „Epoque“ i mąż zaufania sztabu generalnego. Ten błyskotliwy i pełen temperamentu dziennikarz jest jednym z głównych propagandystów prawicy francuskiej. Jako przywódca „Solidarité Francaise“ był on jednym z organizatorów paryskich zajść lutowych w 1934 r. przed parlamentem w związku z aferą Stawisky‘ego. Propaguje zjednoczenie całej prawicy, w której zwycięstwie nad frontem ludowym widzi rękojmię wielkości Francji. W sprawach polityki wewnętrznej pozbawiony zupełnie perspektywy, całkowicie reakcyjny, jest jednak tylko ćwierć-faszystą, przed pół-faszyzmem, rozpowszechnionym w kołach prawicy, chroni go dawna antyniemiecka tradycja.

W 1934 odbywa lot (Kérillis jest z zawodu lotnikiem wojskowym) do Sowietów jako korespondent „Echo de Paris“. Pisze serię entuzjastycznych artykułów o armii czerwonej i odtąd staje się jednym z głównych promotorów sojuszu francusko - sowieckiego. Sojusz czysto militarny bez najmniejszej łączności ideologicznej, winien być uzupełniony rozwiązaniem partii komunistycznej, aby lewica nie wykorzystywała sojuszu dla swych wewnętrznych celów.

Całkowicie reakcyjny w polityce wewnętrznej, jest Kérillis w sprawach polityki zagranicznej bardziej radykalny od Leona Bluma. Będąc uważnym obserwatorem, ma odwagę ukazania perspektywy historycznej.

Aksjomatem jest dla niego wojna z Niemcami. Nie wierzy w możliwość pokojowego ułożenia się z Hitlerem. Przegrana Francji w tej wojnie musi prowadzić do ruiny porządku społecznego. Natomiast Francja zwycięska będzie mogła zachować siłę oporu nawet w obliczu zrewoltowanych Niemiec. Aczkolwiek liczy się na wypadek przegranej Niemiec z wybuchem rewolucji na wschód od Renu, to jednak ta perspektywa nie przeraża go tak jak klęska Francji w wojnie z Hitlerem.

Przed rokiem opublikował Kerillis niewielką książkę: „Français, voici la guerre!“. Jest to jeden z najbardziej zajmujących dokumentów naszej epoki przedwojennej. Zimno, twardo i bez upiększeń kreśli wizję wojny i poddaje druzgocącej krytyce politykę zagraniczną francuskiej reakcji. Żaden lewicowy polityk nie uderzył tak mocno w jej antypatriotyczne stanowisko. Ugoda z III Rzeszą? Grube złudzenie. Zbrojenia to wkład kapitału, który musi się rentować. Miecz niemiecki musi podbijać państwa a zwyciężeni zapłacą koszta zbrojeń. Hitler chce prosperity przez wojnę i totalne zwycięstwo. Wybuch nastąpi zanim Anglia się dozbroi. Francja przegrała w 1870 r. ponieważ była izolowana i nie znalazła sojusznika na wschodzie. Bez wzięcia Niemiec w obcęgi nie ma zwycięstwa Francji. Równocześnie Kérillis ostrzega przed przecenianiem aktualnej siły militarnej Anglii.

Hitler skorumpował politycznie burżuazję francuską i przyczynił się do jej obezwładnienia. Zaczęła ona od interwencji antybolszewickiej, później stała się proniemiecka a wreszcie antynarodowa. Nastąpił kryzys francuskiego nacjonalizmu. W okresie Clémenceau i Poincaré był on narodowo-aktywistyczny, przygotował rewanż za Sedan i zrealizował go. Dziś jest on bierny, a obiektywnie może defetystyczny. Walka faszyzmu z bolszewizmem przesłania burżuazji francuskiej wielkie niebezpieczeństwo agresji hitlerowskiej.

W przeddzień ataku na Francję, Europa nie będzie obawiała się wojny bardziej aniżeli codziennie. Może w ów dzień Daladier złoży uspakajające wyjaśnienie przed parlamentarną komisją wojskową, że armia francuska jest na wszystko gotowa. A wieczorem grzmieć będą mowy wojenne w radio niemieckim. O tej samej godzinie nastąpi kombinowany atak na lądzie i w powietrzu. Kerillis jest przekonany, że pierwsza faza wojny, a może nawet jej rezultat końcowy będzie określony przez pierwsze dni wojny zarówno strategicznie, jak i politycznie. Nie wątpi, że pierwsze potężne uderzenie Hitlera nastąpi przeciw Francji. Wówczas los świata będzie rozstrzygnięty przed linią Maginota. Francja musi odeprzeć pierwsze uderzenie. Narody anglosaskie przybędą dopiero później z pomocą. Od siły oporu Francji w pierwszych dniach wojny będzie zależała trwałość jej sojuszów. Jest rzeczą wątpliwą czy Francji pobitej na początku wojny pomogą jej sojusznicy. Angielskie zbrojenia długo jeszcze nie wystarczą dla zapewnienia Francji bezpieczeństwa. Tak pozbawiony złudzeń jest Henri de Kérillis, redaktor paryskiej „Epoque“.

W parlamencie powiada: „Jestem przede wszystkim nacjonalistą i chcę uratować mój kraj przed hańbą i cierpieniem przegranej wojny, gdyż przegrana wojna złamie wielkość Francji“. Pisze: „Nigdy niebezpieczeństwo rewolucji nie skłoni mnie do zapomnienia o niebezpieczeństwie niemieckim. Francja jest rzeczą większą, niż moja klasa społeczna, Francja jest ważniejsza, niż kapitalizm, niż nasz reżym polityczny, niż ideologia do której się skłaniam“.

AD. IGN. WOLSKI

Dnia 18 grudnia

każdy demokrata

w Warszawie

i

w Łodzi

głosuje na jedyną

demokratyczną listę nr 2

Z dnia na dzień

Wierni duchowi Wielkich Polaków

Główny Komitet Zjednoczonej Polonii w wschodnich Stanach Ameryki Północnej na specjalnym posiedzeniu zwołanym do Domu Narodowego w Nowym Yorku, powziął między innymi uchwałę następującą:

„Polonia wraz z całym społeczeństwem amerykańskim oburzona jest do głębi brutalnymi napadami na bezbronną ludność żydowską i katolicką w Niemczech. Dopatruje się w tych napaściach nietylko barbarzyńskiego pogwałcenia godności ludzkiej, ale także jednego z dalszych kroków przygotowawczych

WSPÓŁCZESNYCH KRZYŻAKÓW PRZECIWKO DEMOKRACJI, WSZYSTKIM MNIEJSZOŚCIOM I SŁABSZYM NARODOM. Popieramy i pochwalamy przedsięwzięte przez rząd U. S. A. — kroki

JAK ODWOŁANIE AMERYKAŃSKIEGO AMBASADORA

i radcy handlowego z Berlina i stwierdzamy wraz z wielkim prezydentem, że

TO CO SIĘ DZIEJE W NIEMCZECH NIE MOŻE MIEĆ MIEJSCA W CYWILIZOWANYM SPOŁECZEŃSTWIE.

Polonia amerykańska winna wystąpić przeciwko bezeceństwom niemieckim nie tylko dlatego, że jest składową częścią społeczeństwa amerykańskiego ale i z tego powodu, że może przy tej okazji

POTĘPIĆ UCISK, JAKIEMU PODLEGA PÓŁTORA MILIONA POLAKÓW

w Niemczech i przygotowane przez obecny rząd niemiecki ataki na niepodległość Polski. Komitet Zjednoczonej „Polonii" powołuje się na arcybiskupa Curleya w Baltimore, który najbardziej kategorycznie potępia obecne stosunki w Niemczech i stwierdza, że

„ANI JEDEN POLAK LUB POLKA, ANI JEDEN CZŁONEK NARODU, KTÓRY WYDAŁ KOPERNIKA, KOŚCIUSZKĘ I PUŁASKIEGO ORAZ WIELU INNYCH, NIE MOŻE MILCZEĆ".

Nie zawsze lepiej późno niż nigdy

ABC położyło niemałe zasługi na polu propagandy mitteleuropejskiej w ciągu ostatnich lat a zwłaszcza miesięcy poprzedzających monachijskie zwycięstwo Trzeciej Rzeszy. Nie przesadzimy chyba, jeżeli powiemy, że warszawski organ ONR walnie przyczynił się do „obrobienia" pewnej części opinii polskiej, zwłaszcza młodzieży, w duchu henleinowsko-sidorowym, szkodliwym nie tylko dla sprawy wolności w Europie, ale przede wszystkim dla bezpieczeństwa naszego kraju. Co przyszło po Monachium, wszyscy wiemy. W Pradze, Bratysławie i Huszcie „mamy" już wytęsknione przez redaktorów ABC rządy „narodowe" posłusznie wykonujące dyrektywy z Berchtesgaden. Po drugiej stronie Howerli, w Huszcie „urzęduje" attaché wojskowy Trzeciej Rzeszy.

Jednocześnie pan Wiesner zgłasza żądania „karlsbadzkie" pod adresem rządu polskiego, a prasa niemiecka gromi najwyższe czynniki Rzeczypospolitej za pominięcie tegoż Wiesnera przy powoływaniu senatorów. W tym samym czasie niedawny pupil redaktorów ABC, pan Sidor (obecnie już wice-premier w rządzie praskim) szczuje przeciw Polsce z polecenia swych możnych protektorów. W tej sytuacji czytamy na łamach ABC:

„Fala niemiecka toczy się na południowy wschód. Wpływy niemieckie ogarniają zarówno Czechów jak Słowaków. Tego rodzaju rozwój wypadków nie leży w interesie Polski. Nie leży tym bardziej ani w interesie Czechów ani w interesie Słowaków. Na razie mogą oni wierzyć czy udawać, że wierzą w zapewnienia niemieckie. Na dłuższą metę współpraca taka stanie się dla nich tragiczną... Dlatego wielkim zadaniem naszej polityki zagranicznej jest wzbudzić przekonanie zarówno w narodzie czeskim jak i słowackim, że jedynym sposobem zachowania niezależności jest współdziałanie z Polską".

Sądzimy — jak sądziliśmy zawsze — że już dawno takie zadania stały przed naszą polityką zagraniczną. W interesie naszego bezpieczeństwa leżało utrzymanie silnej, demokratycznej Czechosłowacji, która stanowiła mocną zaporę przeciw niemieckiej ekspansji na południowy wschód. Polityka Berlinternu robiła wszystko, żeby tę zaporę usunąć. Posługiwała się w tym celu Henleinem, Sidorem i S-ką. Ale wtedy redaktorzy ABC, zamiast, mówiąc ich własnymi słowami— „budzić przekonanie zarówno w narodzie czeskim jak i słowackim, że jedynym sposobem zachowania niezależności jest współpraca z Polską", z zapałem godnym lepszej sprawy kruszyli kopie o rozbiór Czechosłowacji, reklamowali pp. Henleina i Sidora jako pionierów „nowej" i ponoć „narodowej" Europy, budzili w pewnej części opinii polskiej podziw dla tych wrogów czeskiej i słowackiej wolności! Okazuje się, że nie zawsze „lepiej późno niż nigdy". Czasem „późno" — znaczy tyle, co „nigdy".

I chciało by się tylko zapytać redaktorów ABC, znowu ich własnymi słowami: czy naprawdę wierzyli czy tylko udawali, że wierzą zapewnieniom niemieckim?

Zależni i niezależni

Sesja nowego Sejmu pozwala zorientować się do pewnego stopnia w tendencjach politycznych Ozonu i całego obozu sanacyjnego. Wolno chyba sądzić, że naogół dominuje kierunek totalistyczny, t. zn. kierunek ewolucji od totalizmu de facto do totalizmu de iure. Trudno szerzej pisać na ten temat, ale wszystko wskazuje na to, że nowy Sejm od którego społeczeństwo — wedle trafnego sformułowania *„Krakowskiego Kuriera Porannego"* — oczekuje uchwalenia nowej ordynacji wyborczej „i niczego więcej" — zamierza jednak zabrać się do realizowania „czegoś więcej". Sejm — to znaczy OZN. Bo t. zw. posłowie niezależni są niezależni tylko od... społeczeństwa, w równym stopniu jak posłowie OZN. Nie bądźmy gołosłowni. Jeden z tych „niezależnych", p. Rudnicki ze Lwowa, w taki oto sposób charakteryzował z trybuny sejmowej swoją niezależność:

„My chcemy ruch zawodowy polski wyzwolić z tego, w czym tkwił przez 20 lat. *Partie* go sobie wyrywały, prawa i lewa strona. Większość związków była w służbie partii. A dziś myśmy się zorganizowali na gruncie ściśle zawodowym i przedstawiamy poważny czynnik (!)"

Język dobrze znany z ostatniego dwunastolecia. Prócz tego p. Rudnicki wyznał: „Nie jesteśmy opozycją i nie chcemy być opozycją". Wystarczy.

Trudno też uważać za niezależnego p. Mudryja i jego komilitonów, do których przymknął „niezależny" petlurowiec Skrypnyk...

Posłowie żydowscy? Żadne stronnictwo żydowskie, od sjonistów aż po Bund, nie ma w tym Sejmie swego przedstawiciela. W tym sensie posłowie żydowscy są niewątpliwie niezależni! Pracują wyłącznie na własny rachunek i ryzyko.

DWIE DROGI

Sądzimy, że różnica między klubem OZN, a różnymi posłami niezależnymi (poza Undem, bo to jest specjalny rozdział) — sprowadza się do różnicy poglądów na drogi, metody i tempo totalizacji. Trzon Ozonu, jak się zdaje, chciałby już teraz totalizmu „czystego", to znaczy monopartyjnego. Reszta zdając sobie sprawę z tego, co Ozon reprezentuje w „terenie" i rozumiejąc, że z tak „masową" bazą w społeczeństwie nie daleko można zajechać, pragnie wciągnięcia do pracy totalizacyjnej żywiołów pozaozonowych i nawet pozasanacyjnych, które zamierza znaleźć w Stronnictwie Narodowym i Str. Ludowym. Taki właśnie sens mają uchwały „Zarzewia", organizacji, na której czele ostatni jej zjazd postawił p. wicepremiera Kwiatkowskiego. Takie koncepcje forsuje Lewiatan, na takim stanowisku stanęła faktycznie Akcja Katolicka i najbardziej prawicowe żywioły Str. Pracy. I w samym nawet Ozonie — wobec poważnych trudności w polityce zagranicznej i wewnętrznej — koncepcja monopartyjnego totalizmu bynajmniej nie może uchodzić już w tej chwili za ostatecznie zwycięską. Będzie to zależało od rozwoju toczących się z zawrotną szybkością wypadków.

Niewątpliwie zwolennicy drugiej koncepcji liczą na to, że uda się im uczynić poważne wyłomy w „partiach", że można będzie zozonizować pewną część „sztabów partyjnych" — jak to uczyniono w „bloku sapieżyńskim" w wyborach do rady miejskiej Krakowa. Liczą na defetystyczne i posybilistyczne tendencje w łonie demokracji, na zmęczenie jednostek i grupek, na dezercję z obozu lewicowego różnych koniunkturalnych demokratów, politykujących po kawiarniach i salonach. Jest przecież przykład: wileński „Kurier Powszechny" i jego redaktor, p. Święcicki...

PERSPEKTYWY

Jeżeli jednak pozaozonowymi filarami antydemokratycznej konsolidacji nr 2 mieli by zostać pp. Kuśnierz, Putek, Święcicki i inni, równie w masach popularni działacze polityczni, to trudno doprawdy dostrzec, o ile ta konsolidacja była by „masowsza" od konsolidacji nr 1

Bo, jak dotąd, w Stronnictwie Narodowym nie widać zrozumienia dla konieczności poddania się komendzie konkurencyjnego Ozonu. Owszem, wodzowie endeccy palą się do wielkiej, faszystowskiej rozprawy z demokracją i szczerze dążą do totalizmu, ale chcą to robić na własny rachunek. Nie przejawili więc, jak dotąd, ochoty do otwartego podporządkowania się sanacji, bo nie chcą, żeby ona jedna zebrała owoce i zdobyła laury zwycięstwa nad demokracją. Dlatego, zwalczając „we własnym zakresie" obóz demokratyczny (i oddając przez to nieocenione usługi sanacji) endecja kroczy w dumnym, wspaniałym odosobnieniu i — czeka na swój tryumf. Czy się go doczeka? Czy może po dłuższym okresie dąsów da się skusić do wspólnego z sanacją stołu? Przyszłość okaże.

A Stronnictwo Ludowe? W ruchu demokratycznym, który wyrasta z istotnych potrzeb ludu i odzwierciadla jego dążenia i ideały, czynnikiem decydującym są masy. Jednostki mają znaczenie o tyle, o ile masom dotrzymują kroku, idą z nimi w złej i dobrej godzinie, walczą o realizację ich dążeń. W ostatnich latach widzieliśmy już niejedną secesję ze Stronnictwa Ludowego, nie jeden „rozłam" w jego szeregach. Ale po każdej secesji, po każdym rozłamie szeregi ludowe rosły liczebnie i krzepły jakościowo, a secesjoniści i rozłamowcy — wiadomo...

„Zielony Sztandar" przypomina dzieje BBWR, z którego dziś ślad nawet nie pozostał, bo go... rozwiązano — i pisze:

„Nie da się tymi sposobami usunąć z życia ruchów politycznych wyrastających organicznie z gleby społeczeństwa, podobnie jak wyrasta z ziemi szumiący las. Niechby sobie p. Witos czy p. Rataj rozwiązywali ruch ludowy nie raz, ale nawet dziesięć razy, nie przestał by on istnieć, żyłby dalej wbrew ich woli i rozwijałby się siłą żywiołowego rozpędu, siłą soków żywotnych, jakie czerpie z tego szerokiego i żyznego podłoża społecznego, które go zrodziło".

I rzeczywiście — gdyby się nawet udało zdobyć dla antydemokratycznej konsolidacji tę lub ową jednostkę z ruchu ludowego, to był by to znowu ten lub inny... wódz bez armii. Bo ruch ludowy jako całość nie może zejść z pozycji demokratycznych, jak długo istnieje w Polsce wielomilionowa masa chłopska, która zawsze pozostanie wierna sztandarowi demokracji.

PRZYKŁAD MŁODZIEŻY

Młodzież? Pod auspicjami Naprawy dwie organizacje sanacyjne, Legion Młodych i Z.P.M.D., połączyły się ostatnio w jeden Legion Młodzieży Polskiej. Jeżeli Związek Młodej Polski ma posłużyć do urzeczywistnienia na odcinku młodzieżowym konsolidacji nr 1 — to nowa organizacja przeznaczona jest, jak wskazują różne objawy, na użytek konsolidacji nr 2. Zadeklarowała już, że nie ma nic przeciw Ozonowi, odgradza się tylko od Służby Młodych. Ma to więc być coś w rodzaju inteligenckiego „Siewu". Ale cóż? O nowej organizacji można powiedzieć tylko jedno: 0 + 0 = 0.

W tym samym czasie ukazał się numer *„Wici"*, poświęcony braterstwu młodzieży chłopskiej i robotniczej. Na czele artykuły redaktora „Wici", Ignara i redaktora organu młodzieży PPS, *„Młodzi idą"* — Pietrzykowskiego. Red. Ignar pisze: „Od młodych zależy wyzwolenie z niewoli faszyzmu, zakuwającego z zaciekłością kajdany na rękach ludzi pracujących. Ażeby tego dokonać, musimy zespolić nasze siły. Musimy skrzyknąć nieświadomą młodzież na wsiach i po miastach. Jest to walka ciężka. Walka o wolność, o Polskę silną, oświeconą i sprawiedliwą".

A w artykule red. Pietrzykowskiego czytamy: „Młodzież robotnicza, złączona z Wami, młodzieżą chłopską, pokrewieństwem krwi, zespolona wspólną dolą i niedolą, zbratana wspólnym ogromem zadań — widzi w Was swoich szczerych współtowarzyszy broni w walce o wolność, o demokrację, o sprawiedliwość społeczną, o godność człowieka".

Oto język prawdziwej, twórczej konsolidacji młodego pokolenia Polski Pracującej! Sądzimy, że tu właśnie leży podstawa i kierunek istotnej, powszechnej konsolidacji narodu, nie mechanicznej i przymusowej, ale świadomej i żywej — w imię demokracji i niepodległości. Młodziś świecą przykładem.

CI TRWAJĄ W ZACHWYCIE

Wileńskie „Słowo" jest czołowym organem polskiego hitlerochwalstwa. Zasługi jego na tym polu są naprawdę niespożyte. Dopiero historia w pełni je oceni.

To, czego panowie ze „Słowa" pragnęli, realizuje się w błyskawicznym tempie. Mitteleuropa stała się rzeczywistością. I oto triumf hitleryzmu rodzi na łamach wileńskiego dziennika taki natchniony hymn zachwytu:

„Czy osiągnięcie skupienia narodowego wielkich Niemiec oznacza kres ich rozwoju politycznego? Czy słowa Hitlera o zamknięciu ich pożądań terytorialnych w Europie staną się prawdą? Niezawodnie przyszłość temu zaprzeczy. Już dziś widzimy jak władczo kształtuje się stosunek Niemiec do Czech, już dziś widzimy mocne kolisko wielkiego imperium, obejmujące to małe terytorium w swą nawpół prawną dominację. Zaś jutro, jutro odżyją idee Habsburgów i tradycje węgierskie i ich ambicje bałkańskie i jednocześnie odwieczny północno-niemiecki Drang nach Osten. ***Niemcy zabiorą się do organizowania wschodu Europy. Historia potoczy się dalej wyrosłą z tradycji wieków wielką drogą przeznaczeń.*** Jesteśmy świadkami potężnej realizacji przez wielki naród niemiecki swego losu, realizacji otwartej, odważnej i zwycięskiej. W cieniu wielkiego kolosa przyglądamy się temu wspaniałemu zja-

wisku z podziwem, może ze zdumieniem, że stała się rzecz tak wielka i tak bezwzględnie ukazała się światu, jak *żywiołowa moc odwiecznych sił wulkanu*".

Tak — „Niemcy zabiorą się do organizowania wschodu Europy". Ale skoro zaborczy pochód pangermanizmu ma — jak nas konserwatywne pismo zapewnia — pójść „drogą przeznaczeń", jak „żywiołowa moc odwiecznych sił wulkanu", to czy nie lepiej poddać się i włączyć w rydwan triumfatora, zamiast porywać się do beznadziejnej walki z nieubłaganym Fatum? Sugestywny, w transie zachwytu odmalowany obraz „wspaniałego zjawiska" wszechniemieckiej ekspansji wywołuje w zmiażdżonym czytelniku wrażenie tak przytłaczającej potęgi, że wszelki opór wydać się musi szaleńczym wyzwaniem Nieubłaganego Losu. A któż by się na to odważył?

Nie chcemy tu rozstrzygać, czy taki właśnie sens ma pean na cześć Trzeciej Rzeszy, zamieszczony na łamach konserwatywnego dziennika. Nie ulega jednak wątpliwości, że znajdą się napewno w narodzie polskim siły, które odważą się wyzwać „Los" — odziany w brunatną koszulę. Znajdą się napewno nie w tych środowiskach, które zawsze umiały tylko sławić różne „potęgi", a wszelką walkę z nimi ogłaszać za szaleństwo.

ZWYCIĘSTWO DEMOKRACJI W WYBORACH SAMORZĄDOWYCH

Przed głosowaniem w wielkich miastach, odbyły się wybory samorządowe w niektórych miasteczkach Pomorza i niektórych powiatach województwa poznańskiego. Być może, na taki właśnie układ kalendarzyka wyborczego miało pewien wpływ przewidywanie, że wybory w tych ośrodkach, zwłaszcza wobec tego, że chodzi o tereny uchodzące za twierdze prawicy, stworzą pomyślną atmosferę dla wyborów w Warszawie, Krakowie i Łodzi.

Trzeba odrazu powiedzieć, że takie nadzieje, jeśli istniały gdziekolwiek, zawiodły kompletnie. Dotychczas znane wyniki wyborów świadczą wprost o triumfalnym pochodzie obozu demokratycznego sensu largo a porażce reakcji wszelkich odcieni.

Stwierdźmy przede wszystkim decydujące zwycięstwo PPS w największym, objętym głosowaniem, mieście Chełmży. Wzrost z jednego na dwanaście mandatów, zdobycie absolutnej większości w Radzie Miejskiej, to sukces, jaki możnaby było nazwać pięknym także i w warunkach łatwiejszych, niż te, jakie istniały dla PPS na Pomorzu jesienią 1938 r.

Stwierdźmy dalej poważne zyski w pozostałych ośrodkach miejskich Stronnictwa Pracy. Trzeba pamiętać, że Stronnictwo Pracy na Pomorzu, to właśnie najbliższy masom ludowym, szczerze demokratyczny jego odłam, reprezentowany bodaj najlepiej przez młodzież z „Jedności". Sukces Stronnictwa Pracy na Pomorzu to sukces całego obozu demokratycznego. W Chełmży, gdzie lokalni kierownicy tego Stronnictwa próbowali naśladować wzór krakowskiego bloku ozonowo-morżowego ponieśli oni zasłużoną, katastrofalną porażkę.

Stwierdźmy triumfalny pochód Stronnictwa Ludowego w powiatach wiejskich. Osiemdziesiąt procent mandatów w powiecie wieluńskim, blisko sto procent w poszczególnych gminach. Jest to sukces zasłużony i tym radośniejszy, że odniesiony na terenach, gdzie Stronnictwo Ludowe znajduje się w ciężkiej walce z endecją.

Stwierdźmy przygniatające zwycięstwo PPS w gminach podmiejskich Łodzi. Taki Widzew np., wczorajsza twierdza endecji, dał PPS-owi większość więcej niż dwóch trzecich, podczas gdy endecja znikła tam w zupełności.

Stwierdźmy wreszcie — last not least — katastrofalną klęskę wszelkich odcieni reakcji. Nie tylko Ozon zarobił sobie na piękną definicję: „Panowie 6,5%", nadaną mu słusznie przez „Dziennik Ludowy". Również i siła endecji i oeneru na tych, uchodzących przecież za ich tradycyjne fortece terenach okazała się nadspodziewanie mała. Te kresowe ziemie, odczuwające najlepiej napór hitleryzmu, dały dobitną odpowiedź polskim hitlerofilom i hitleerochwalcom.

SOJUSZ Z WŁASNYM LUDEM

Zielony Sztandar pisze bardzo słusznie:

„Ozonowa prasa coraz częściej popada w zarozumiały, kaznodziejski ton w stosunku do partii opozycyjnych. Wychodząc z założenia, że tylko co ozonowe, to i państwowe, odsądza stronnictwa opozycyjne, zrzeszające milionowe rzesze od czci obywatelskiej, nazywając je często „upiorami przeszłości". Zapominają ozonowi publicyści o tym, że do najbardziej upiornych w przeszłości Polski zjawisk należało właśnie utożsamianie się jednej, nielicznej warstwy ludzi z państwem doprowadzone aż tak daleko, że wszelkie próby niezbędnych reform społecznych, czy politycznych, zagrażających przywilejom tej warstwy i jej monopolowi rządzenia, uważane były przez nią za zamach przeciw państwu. Jak wielce ten sposób myślenia zemścił się później, nie tylko na warstwie szlacheckiej ale i ile szkód przyniósł samemu państwu, o tym nie potrzeba mówić..."

Stoimy, być może — stwierdza organ ludowy — w obliczu wielkiej zawieruchy międzynarodowej, która nie ominie zapewne i Polski. I dlatego warto przypomnieć, że wojnę światową przegrały właśnie państwa autokratyczne, których rządy były izolowane od społeczeństwa, osamotnione w narodzie: carska Rosja i wilhelmowskie Niemcy:

„Wielką wojnę przegrały więc te państwa, w których reżym był znienawidzony przez najszersze masy narodu, w których rządząca „elita" nie zrozumiała w porę, że co innego jest ona ze swymi interesami i przywilejami, a co innego państwo i jego dobro."

Tylko lud obroni państwo w godzinie próby:

„Najpewniejszy jest tylko sojusz z własnym ludem i na tym polu sojuszu państwo polskie może polegać. Dlatego musi być usunięte z życia Polski wszystko, co stanowi przegrodę między państwem a ludem. Muszą być piętnowane i tępione wszelkie przejawy staroszlacheckiej umysłowości, utożsamiającej państwo z jakąś jedną tylko warstwą ludności, czy też z jedną tylko partią. Państwo polskie jest własnością narodu. Tylko naród, który jest wieczny, potrafi utrzymać państwo przez długie wieki. A trzonem narodu i wiecznym źródłem jego wszelkich sił jest lud. Muszą być wypędzone z życia Polski te wszystkie „upiory przeszłości", które stają zawadą na drodze do jaknajściślejszego związku mas ludowych z państwem. Tego wymaga nie tylko interes ludu, ale przede wszystkim najwyższy interes państwa.

Mas ludowych nie da się związać z państwem siłą administracyjno-policyjnych nakazów; musi być w nich rozumowana obywatelska godność i ich patriotyzm, oparty na ich własnym popędzie i dobrowolności. Tego żywiołowego patriotyzmu nie zastąpi ślepe posłuszeństwo administracyjno-policyjnym nakazom!"

ECHO LAT MINIONYCH.

W tych dniach odsłonięto portret Bolesława Hirszfelda w powązkowskim oddziale Biblioteki Publicznej jego imienia. Uroczystość ta skupiła liczne grono przyjaciół i towarzyszy pracy tego zasłużonego działacza. Trzy pokoiki w oddziale Biblioteki przy zbiegu Okopowej i Dzikiej przedstawiały niecodzienny obraz: zapełnili je przedstawiciele pokolenia, walczącego przed laty w podziemiach konspiracji. Wielu z obecnych zdążył już wiek przygarbić, a prawie wszyscy świecili siwymi głowami. Niektórzy spotkali się tutaj po dziesiątkach lat niewidzenia. Życie rozdzieliło niemal wszystkich, odrzuciło na różne pozycje, nawet na przeciwległe bieguny działalności publicznej. Ale w tej godzinie, przy tym ognisku pamięci Bolesława Hirszfelda spłynęły na obecnych wspomnienia

dawnych lat, wspólnych walk i porywów, przytłumiając wszelkie różnice dnia dzisiejszego. W ciżbie, przypominającej dawny ścisk w mieszkaniach konspiracyjnych, pomieszali się i poddali nastrojowi wspomnień przeszłości radykali i sanatorzy, socjaliści i narodowi demokraci. W ciżbie tej zauważyliśmy tedy Wacława Sieroszewskiego, Józefa Ciąglińskiego, jednego z pierwszych redaktorów nielegalnego „Robotnika", Stanisława Bukowieckiego, Miłguja Malinowskiego, Tytusa Filipowicza, Stefanię Sempołowską, Zygmunta Szymanowskiego i Wacława Łapińskiego, Pawła Sosnowskiego, Ludwika Hirszfelda, Natalię Gąsiorowską - Grabowską, Bernarda Szapirę, Wandę Filipowiczową, Dulębinę, Jakimiakową, Jakuba Glassa, Bronisława Rogowskiego i wielu innych.

Okolicznościowe przemówienie, poświęcone pamięci Bolesława Hirszfelda wygłosili: Teodora Męczkowska, której artykuł napisany dla „Epoki" drukujemy poniżej, oraz Stanisław Bukowiecki,, który dzielił się wspomnieniami lat minionych i podnosił niezwykłe wartości moralne, poświęcenie i czynny patriotyzm tego ofiarnego szermierza światła i wzorowego obywatela.

„Mieliśmy szczęście widzieć go pośród siebie"

Pamięć o Bolesławie Hirszfeldzie ginie wraz ze śmiercią ludzi, którzy go znali, którzy z nim razem pracowali. A tak być nie powinno, bo był on wzorem obywatela w czasach niewoli. Był wielkim umysłem i charakterem, był człowiekiem w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Sposób, w jaki składał siebie w ofierze innym ludziom, był tak subtelny, że mniej wrażliwi nie czuli wcale, że biorą, że mu coś zawdzięczają, że są jego dłużnikami. Dawał z siebie dużo i dawał hojnie.

Należał do twórców najtajniejszych organizacyj konspiracyjnych, które miały w owych ciężkich czasach realizować ideały narodowe i społeczne. Praca w tych organizacjach ciągnęła się nieprzerwaną nicią przez całe jego życie, była jego treścią. W tej pracy na krótko przed śmiercią napotkał opory, co niewątpliwie nie pozostało bez wpływu na jego stan duchowy.

Bolesław Hirszfeld zmarł młodo śmiercią tragiczną w 1899 r., jego pogrzeb dnia 4 listopada był wielką manifestacią społeczeństwa polskiego. W manifestacji tej wzięły udział niezliczone tłumy, kondukt pogrzebowy ciągnął się od rampy ówczesnej kolei Wiedeńskiej do ulicy Królewskiej, a trumnę nieśli na swych barkach przyjaciele przez cały czas; do samego grobu na Powązkach nie spoczęła ani na chwilę na karawanie. Porządku pilnowała młodzież akademicka.

Wspomnienia pośmiertne, zamieszczone we wszystkich prawie pismach, nie mogły odsłonić, ze względu na panujące wówczas stosunki polityczne, istotnych jego zasług jako patrioty i społecznika. Rola jego jako działacza politycznego nie mogła być ujawniona nawet w pismach, wychodzących w Krakowie czy Lwowie: nie można było rozkonspirowywać prac prowadzonych ani ujawniać ludzi z nim związanych. To też wszystkie wspomnienia nie wykazały ani jednego konkretnego czynu, stwierdziły tylko jednogłośnie niezwykłą wartość moralną B. Hirszfelda jako człowieka i obywatela, rozległość jego oddziaływania, opisywały urok, jaki wywierał.

Bolesław Hirszfeld urodził się w Warszawie w tradycyjnie uczciwej i szanowanej rodzinie żydowskiej. Studiował przyrodę na Uniwersytecie Warszawskim, skąd na miesiąc przed ostatecznymi egzaminami został wydalony za udział w manifestacji studenckiej — t. zw. „Apuchtinadzie . Lata 1884—87 spędził w Hanowerze i Zurychu, gdzie studiował chemię.

W historii odbudowy Państwa Polskiego Bolesław Hirszfeld ma swoją kartę. Cała jego działalność była nawskroś przesiąknięta ideologią niepodległościową i głęboką wiarą w odrodzenie państwa polskiego. Ten cel przyświecał mu nieustannie. Przez ciąg całego życia kładł podwaliny pod wychowanie przyszłego obywatela dla Niepodległej Wolnej Polski. A myślał tak i czynił w czasach, kiedy inteligencja polska w dużej mierze zarażona była obłędem ugodowym, kiedy poziom uświadomienia politycznego w ogóle był bardzo niski.

W czasie pobytu w Szwajcarii współdziała z T. T. Jeżem i Zygmuntem Balickim w tworzeniu Skarbu Narodowego i Ligi Polskiej, organizacji ściśle zakonspirowanej, działającej na terenie trzech zaborów i stawiającej sobie za cel odzyskanie niepodległości. Bierze również czynny udział w tworzącej się w 1887 r. organizacji „Tajny Związek Młodzieży Polskiej".

Związek ten skupiał przez długi szereg lat szerokie rzesze młodzieży polskiej i był szkołą politycznego wyrobienia, mającą na celu: „kształcić siebie i innych, budzić stłumione w społeczeństwie poczucie odrębności narodowej i jego nieprzedawnionych praw, a przede wszystkim szerzyć oświatę wśród warstw najbardziej jej potrzebujących — ludu wiejskiego, a przez to przygotować grunt do odrodzenia Polski.

W 1891 r. należy do organizatorów uroczystego obchodu setnej rocznicy Konstytucji 3 maja. W tymże roku zostaje aresztowany i spędza przeszło rok w Cytadeli Warszawskiej (od 7 grudnia do 12.XII. 1892 r.) po czym ma wzbroniony pobyt w Królestwie, północno- i południowo zachodnim kraju na przeciąg 5 lat, dozór policji w ciągu trzech lat.

I tu w Cytadeli, gdzie zazwyczaj ogarnia ludzi przygnębienie i apatia, Bolesław Hirszfeld znalazł pole do pracy twórczej. Dzięki swej rzeczywiście wyjątkowej umiejętności obcowania z ludźmi i wprost

„KONIECZNA JEST WALKA ZE ZDZICZENIEM MORALNYM, JAKIE SZERZY FASZYZM.

FASZYZM DEPRAWUJE LUDZI. FASZYZM ODWRACA POJĘCIA O ISTOCIE KULTURY I PODSTAWIA CHAMSTWO ZAMIAST KULTURY, CZYNIĄC TO ŚWIADOMIE I PLANOWO".

ANDRZEJ STRUG

jakby sugestywnego na nich oddziaływania, potrafił poddać swej woli jednego z dyżurujących żandarmów i ustalić dzięki temu, pomimo surowego rygoru, stałą komunikację między więźniami X Pawilonu (a było ich wówczas dużo) a ich rodzinami.

Ale jego kontakt z więźniami politycznymi i życiem więziennym nie przerwał się po uwolnieniu z więzienia. Bolesław Hirszfeld nadal przez szereg lat roztaczał opiekę nad więźniami, dawał na ten cel fundusze i zawsze dobrze wiedział komu i kiedy pomóc należy. Sam spełniał wszystkie funkcje, które zazwyczaj pełnią instytucje, w jego osobie koncentrowała się praca ta całkowicie. I co jeszcze podkreślić należy, że, udzielając pomocy, nie pytał nigdy o przynależność partyjną zainteresowanego, to było dla jego pięknej duszy obojętne, szanował bowiem w człowieku każdym życie dla idei: obchodziła go tylko sprawa i od niej uzależniał swe stanowisko. Stosunki, jakie posiadał w Cytadeli, scedował przed śmiercią na Marię Paszkowską, która stała na czele Pomocy Więziennej. P. P. S. W następnych latach kierownictwo na tym odcinku pracy przeszło do rąk Stefanii Sempołowskiej, która do ostatnich czasów prowadziła energiczną i ofiarną działalność.

Ale największe, wprost olbrzymie są zasługi B. Hirszfelda dla sprawy oświaty ludowej, zarówno tajnej jak jawnej. W czasach, kiedy ciężka ręka zaborcy hamowała wszelkie poczynania, mające na celu już nie tylko podniesienie oświaty, ale nawet elementarną walkę z analfabetyzmem, Bolesław Hirszfeld zrozumiał konieczność prowadzenia wśród ludu akcji nielegalnej o charakterze politycznym. Tu akcja była przez niego głęboko przemyślana nie tylko w ogólnych zarysach ale i w szczegółach. Specjalni wysłannicy jeździli po wsiach, badali potrzeby ludności i jej nastroje.

Po powrocie do Warszawy zdawali relacje z „duchowego oblicza" okolicy. Odpowiednio do stwierdzonych warunków rozpoczynała się akcja: kolportaż lektury przyrodniczej, historycznej, czy nielegalnej.

Ta praca koncentrowała się w tajnej organizacji oświaty ludowej, której ekspozyturą była „bezimienna spółka wydawnicza".

Organizacja ta powołała do życia i oświatowe koła młodzieży, spółki wydające książki dla ludu, urządzające pokazy, odczyty oraz koła rozdawnicze. Te ostatnie, złożone przeważnie ze studentów, którzy zajmowali się propagandą i kolportowaniem na wsi wydawnictw, opatrzonych charakterystyczną winietą z sierpem i pająkiem.

Dzięki dobrej organizacji wydawnictwa te rozchodziły się w setkach tysięcy egzemplarzy, niosąc światło pod strzechy na wielkich połaciach kraju.

Miały one w pewnej chociażby mierze zastąpić szkołę polską. Cenzurowanie tych książek nastręczało trudności, które z wielkim nakładem pracy pokonywał sam Hirszfeld. Zdarzało się, że przewoził rękopisy aż do Kijowa, Petersburga bo tam łatwiej można było zgodę cenzury uzyskać, zwłaszcza gdy chodziło o książki treści historycznej.

Ta systematyczna akcja oświatowa wśród ludu umożliwiła zorganizowanie w Warszawie w grudniu 1898 r. z okazji odsłonięcia pomnika A. Mickiewicza, pierwszego zakonspirowanego Zjazdu chłopskiego.

W zjeździe tym brał B. Hirszfeld udział wybitny. Te wszystkie poczynania w pewnym stopniu niwelowały, niewątpliwie, zgubne skutki rusyfikacji. To też sfery rządowe prowadziły z działalnością tą walkę, stwarzając opory wszelkiego rodzaju aż do zakładania pism dla ludu, w odpowiednim duchu redagowanych.

W pracy J. Grabca „Czerwona Warszawa przed ćwierć wiekiem" znajduje się na str. 135 taki charakterystyczny ustęp: „Orzeczenie Komisji, zwołanej w 1901 r. przez generał-gubernatorstwo warszawskie dla omówienia stosunków włościańskich konstatuje, że wpływ tajnego nauczania objął 33% ludności kraju i że temu właśnie tajnemu nauczaniu zawdzięcza umiejętność czytania większość włościan".

Bolesław Hirszfeld był człowiekiem zamożnym. Ale i stosunek jego do posiadanego majątku nie był zwykły—stopa jego życia osobistego była więcej niż skromna: na siebie, na swoje potrzeby wydawał mało, ale za to hojną ręką dawał. Nie było w tym czasie dobrej sprawy, ani pracy pożytecznej, do której powstania lub rozwoju nie dopomagałyby jego fundusze. Za życia zużywał swój majątek dla dobra publicznego, a umierając tak rozporządził resztą posiadanych pieniędzy, by mogły dalej służyć celom oświaty w Polsce. Ponieważ legalnie uczynić tego nie mógł, zapisał w testamencie kilkadziesiąt tysięcy rubli najbliższym sobie ludziom: Mieczysławowi Brzezińskiemu, Teodorze i Wacławowi Męczkowskim, Stanisławowi Michalskiemu i Stefanii Sempołowskiej, ludziom z którymi łączyła go wspólnota umiłowań, ścisła współpraca, którzy zatem intencje zapisu doskonale rozumieli.

Z tego zapisu zostało założone nowe pismo dla ludu, powstały biblioteki dla seminariów nauczycielskich w Łęczycy, Jędrzejowie, Siennicy, szkoły rolnicze w Kruszynku, Pszczelinie i Sokołówku. Część funduszu przeznaczono na stypendia dla pracowników oświatowych, a część dla Biblioteki Publicznej, która stała się z czasem poważną instytucją oświato-

wą (Miejska Biblioteka Publiczna — dziś mieści się na ul. Koszykowej Nr 26).

Wreszcie, ponieważ w 1925 r. część funduszu stypendialnego została przez jedną z osób zwrócona p. St. Sempołowskiej, przeto grono byłych towarzyszy pracy B. Hirszfelda uznało za najodpowiedniejsze ten, pozostały z zapisu jego fundusz, obrócić również na cel oświatowy — poprzeć jedną z powstających filij Biblioteki Publicznej i uprosić miasto o nadanie tej bibliotece im. Bolesława Hirszfelda. Inicjatywa ta została zrealizowana i IV filia Biblioteki Publicznej, mieszcząca się na ul. Dzikiej Nr 42 (dzielnica Powązkowska) otrzymała w roku 1936 nazwę „im. Bolesława Hirszfelda".

Na zakończenie tego wspomnienia przytaczam kilka głosów ludzi wybitnych, może najwybitniejszych, o B. Hirszfeldzie.

„W zielonym kajeciku Jaśniacha" Żeromski tak mówi o B. Hirszfeldzie: „Rozum twój był tak jasny, jak ranny promień słońca, czysty jak głębia morza zdala od brzegów, żywy jak wiatr i wszechmocny jak piorun. Rozum twój wykołysały tysiące smutnych po ziemi pokoleń żydowskich a miłość darowała go plemieniu polskiemu".

A znów w „Słowie o Bandosie" stawia nazwisko B. Hirszfelda obok „pierwszych w narodzie" jako tego, „którego mieliśmy szczęście widzieć pośród siebie".

W sprawozdaniu z XIII Zjazdu Zjednoczenia Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą, odbytego w dniach 23—30 grudnia 1899 r. w Zurychu, jest taki ustęp z przemówienia Z. Miłkowskiego:

„Następnie sędziwy mówca wyłuszczył swój pogląd na obowiązki młodzieży polskiej... Ku zespoleniu przeto temu młodzież dażyć powinna, w duchu tym kształcić się i przyspasabiać. Czy czyni to. — Czyni, ale niestety nie wszystko. Wszakże wydaje spośród siebie pracowników wielce pożytecznych. Wymieniać ich dziś nie wolno z wyjątkiem jednego, którego śmierć wyzwoliła spod moskiewskiego dozoru. Jest nim były słuchacz politechniki zuryskiej, Bolesław Hirszfeld. Wymówiwszy nazwisko to, pułkownik zawołał:

— Hirszfeldów takich dawajcie nam jak najwięcej.

W warunkach obecnych był to wielki Polak. „Dawajcie nam Hirszfeldów jak najwięcej".

TEODORA MĘCZKOWSKA

Wacław Nałkowski

II.

Na progu naszego stulecia, w okresie przyboru spienionej fali rewolucyjnej i wolnościowej, a jednocześnie bujnego rozkwitu życia umysłowego, Wacław Nałkowski wysuwa się na czoło pisarzy, najmocniej odziałujących na duszę pokolenia, które weszło w wir walki o wolność, wziąwszy rozbrat z kierunkiem i szkołą mieszczańskiego pozytywizmu.

Obok Ludwika Krzywickiego, Stefana Żeromskiego, J. Wł. Dawida, Stanisława Brzozowskiego, Nałkowski staje się najpilniej słuchanym i najsilniej oddziałującym rzecznikiem pragnień i dążeń wyzwoleńczych, heroldem i orędownikiem myśli odnowicielskiej i rewolucyjnej, zwróconej jaknajostrzej przeciw niewoli we wszelkiej postaci, zaborowi, obskurantyzmowi i wstecznictwu. Imię jego utożsamia się z sumieniem ruchu, nabiera wagi i znaczenia ostoi moralnej dla pokolenia, rwącego się do nowego życia na wyższym duchowym poziomie.

Nałkowski, twórca i pionier w nauce, wychodzi z swojej pracowni naukowej i rzuca się w wir walki jako pisarz społeczny. Jego własne wyznania świadczą najdowodniej, że ta jego nowa postawa nie jest rzeczą przypadku lub chwilowego nastroju, lecz przeciwnie świadczą, jak głęboko była ona umotywowana. „Przekonałem się — wyznaje Nałkowski — z własnego doświadczenia, że dla osiągnięcia doniosłych rezultatów w nauce, to znaczy dla rozwinięcia pracy badawczej, rozwiązania stawianych sobie problematów, nie wystarcza zapał, wytrwałość, przygotowanie naukowe: wogóle nie wystarczają potrzebne ku temu warunki wewnętrzne; — trzeba w tym celu sprzyjających warunków zewnętrznych"... Inaczej „przy największym wytężeniu energii zaledwie tylko część drobną, lub nawet tylko ułamki pomysłów i planów można oblec w szaty konkretne. Wszystkie te i tym podobne, drogo kosztujące doświadczenia, wraz ze śledzeniem innych tego rodzaju objawów i rozwoju prądów socjologicznych, uświadomiły mnie społecznie. Zrozumiałem, że obecny grunt społeczny, zwłaszcza u nas, to pole zachwaszczone... Zrozumiałem, iż należy... grunt ten przeorać pługiem krytyki społecznej, którego żelazo zostało zahartowane w ogniu doświadczeń i zawodów; zrozumiałem, że one nie były bezwartościowe: owszem, zużytkowane właściwie, jako motory, mogą się stać ważniejszymi czynnikami rozwoju kulturalnego, niż jakieś specjalno-naukowe odkrycie uczonego filistra".

To swoje stanowisko Nałkowski określa przy innej sposobności jeszcze wyraźniej i ostrzej, choć trzeba pamiętać, że płomień swego pióra przytłumiać musiał względami na czujną i złośliwą cenzurę: „Ziarna wiedzy można siać tylko na gruncie przygotowanym; kto je sieje na chwasty i ciernie, ten jest dzieckiem, marnującym ziarna: trzeba wprzód chwasty i ciernie wyrwać z korzeniem, oddać zgniliźnie lub ogniem spopielić, a wtedy dopiero rzucone ziarno plon wyda. Tak, dziś jeszcze nie czas na siew — dziś nie nauki potrzeba, lecz — walki!"

Te wyznania tak wymowne i ważne pod piórem uczonego, rzucają snop światła na trud i mozół w twardej służbie wiedzy, a jednocześnie ukazują jaśniej źródła

---

„W PAŃSTWACH O USTROJU FASZYSTOWSKIM LUB ZBLIŻONYM DO FASZYSTOWSKIEGO RZĄDY PRZESTAŁY BYĆ INSTANCJĄ PRAWA W JAKIMKOLWIEK SENSIE SĄ ONE STRONĄ BEZPOŚREDNIO WALCZĄCĄ, POSŁUGUJĄCĄ SIĘ BEZWZGLĘDNĄ PRZEMOCĄ. DZIŚ NIE MA PRZED KIM ZASKARŻAĆ AKTÓW NADUŻYĆ, PRZEMOCY I TYRANII".

ANDRZEJ STRUG.

moralne i motywy walki Nałkowskiego, który z poczucia obowiązku społecznego wyrzekł się zamkniętej pracowni naukowej, będącej przecież dla innych ucieczką i bezpiecznym schronem przed tragizmem rzeczywistości.

„Dziś nie nauki potrzeba, lecz walki!“ Kto dobył z swej duszy tak dramatyczne a jednocześnie tak płomienne i bojowe hasło? Czy początkujący, zawiedziony w swych poszukiwaniach adept nauki, który zwątpił o swoim powołaniu? Nie! Ten przejmujący sąd wypowiedział uczony, którego późniejsi geografowie, zgłębiwszy dzieło życia Nałkowskiego, uznali za zjawisko wyjątkowe, za wielkość niepospolitą. „Nałkowski był z takich, co raz na sto lat się rodzą. Stanowi on całą epokę w naszej geografii“ — powiada prof. Stanisław Lencewicz, zdumiewając się, że „tyle zdziałał jeden człowiek, bez katedry, bez laboratoriów, bez subsydiów rządowych i ...bez pieniędzy“.

Nałkowski jako przyrodnik i Nałkowski jako geograf, zespolony z dziejami człowieka i ziemi, ogarniał szlaki rozwoju z wyżyn tysiącleci, a wpatrując się w olbrzymią perspektywę w skali wieków, zgłębiał treść nawarstwień cywilizacji i losy kultury ludzkiej. To najogólniej sformułowane stanowisko Nałkowskiego jako uczonego i myśliciela wiąże się z jego postawą jako pisarza i znamionuje go jako bojownika o nowe warunki bytu ludzkiego. Zapatrzony w dal wieków, ma wizję doskonałości człowieka, która usprawiedliwia i warunkuje upragniony pochód ludzkości w przyszłość. To żarliwe pragnienie przebija ze wszystkich pism Nałkowskiego i dźwięczy w każdym wyrazie jego płomiennego języka. Dlatego słowo Nałkowskiego, niecące iskry buntu, tchnie wzgardą i odrazą do wszystkiego co jest objawem małostkowości i mroku, filisterstwa i bezduszności, ucisku, podłości i krzywdy, bo wszystko to stanowi zapory na drodze i opóźnia pochód ewolucyjny ludzkości.

Staje się więc Nałkowski zdecydowanym, nieubłaganym wrogiem ustroju kapitalistycznego i przechodzi na szaniec socjalizmu. Uważa, iż dopiero gruntowna przemiana stosunków społecznych uwarunkuje powstanie nowych wyższych form bytu człowieka, wyzwoli ujarzmioną dotąd i marnowaną energię pracującego społeczeństwa i stworzy podłoże dla przyszłego, bujnego rozkwitu życia duchowego i umysłowego.

Wszystkie wystąpienia publicystyczne Wacława Nałkowskiego, wszystkie jego studia psycho-społeczne, krytyki, artykuły polemiczne, nawet recenzje książkowe, napisane od chwili, kiedy poczynił wyżej przytoczone wyznania (1899 r.) nacechowane są żarliwą wiarą w wartość i posłannictwo człowieka, w przyszłą doskonałość, którą osiągnie ludzkość w swoim pochodzie ewolucyjnym. Trwając na swej reducie publicystycznej bez przerwy aż do ostatniego tchnienia (1911 r.), pełnił swą służbę bezkompromisowo i nieustraszenie, atakując bastiony niewoli, zacofania, nieuctwa, upodlenia i wyzysku, a zwłaszcza bastiony reakcji, którą określał jako pasożytniczą. Jak pojmował swój obowiązek pisarza społecznego, świadczy jego własne wyznanie, wywołane żalem pewnego autora za krytykę Nałkowskiego: „Jako człowiek mogę sympatyzować z człowiekiem, który mimo wieku podeszłego poświęca swe siły dla celów idealnych, ale jako krytyk, muszę z całą stanowczością uderzyć na to, co jest błędne lub takim mi się wydaje. Albowiem praca piśmiennicza w szlachetnym pojęciu jest walką idei; aby pewna idea zwyciężyła, trzeba wprzód pokonać ideę przeciwną, bez względu na jednostkę, która ją głosi. Kto tak pojmuje swe powołanie pisarskie, ten w walce nie może oszczędzać jednostek (jak nie oszczędza i siebie), albowiem tu chodzi o coś ważniejszego niż jednostka, chodzi o ideę, to znaczy o ludzkość całą, o jej rozwój, jej dążenie w niezmierzoną dal wieków...“

Ale Nałkowski, mimo tego, że był nieugiętym szermierzem radykalizmu społecznego i hołdował ideom najbardziej demokratycznym, pozostał zdecydowanym indywidualistą. W zbiorze wciąż żywych i świetnych szkiców pt. „Jednostka i Ogół“ oświadcza wyraźnie, że nie wolno zbyt rozrzutnie szafować życiem jednostki dla celów społecznych, czująca bowiem i myśląca jednostka jest to materiał zbyt drogi i jedyny. Za najlepsze jednostki Wacław Nałkowski uważał nie te, które w sensie darwinistycznym najlepiej przystosowały się do swego środowiska, lecz te właśnie, które „wyprzedzając pochód ludzkości starają się przeciwnie: środowisko przystosować do siebie, nagiąć ku swym wielkim pragnieniom, porwać za sobą ku swym dostrzeganym lub przeczuwanym horyzontom i wnieść ku swym wysokim ideałom“.

I właśnie między Wacławem Nałkowskim, obdarzonym iskrą prometejską, wybiegającym naprzód ku szczytom a tłumem psychicznym, nie tylko opóźnionym w pochodzie, lecz, mówiąc jego językiem, — ciągnącym wstecz, ku mrokom, — rozwarła się przepaść szeroka i nie do przebycia.

W styczniu upływa dwadzieścia osiem lat, gdy pewnego mroźnego wieczoru podczas jednej ze swych samotnych wędrówek po Warszawie, Wacław Nałkowski padł na Mariensztacie śmiertelnie rażony i wkrótce zgasł, ale nie z wyrazem przerażenia w twarzy, lecz jak Tytan „z błyskawicą w oku“.

HENRYK LUKREC

P. S. Trzecia część tego szkicu poświęcona będzie postawie ideologicznej Wacława Nałkowskiego wobec „Legendy Młodej Polski“ Stanisława Brzozowskiego.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

Jan Waśniewski — „Po dniówce“. Opowiadanie. Warszawa 1938. Towarzystwo Wydawnicze „Rój“.

Polska literatura regionalna należy do tych dziedzin naszego piśmiennictwa, o których mówi się w prasie czy przed mikrofonem od czasu do czasu, ale które ilościowo są dość ubogie i niełatwo torują sobie drogę do wrażliwości czytelnika (znacznie łatwiej natomiast, w dobrym wykonaniu, do słuchacza radiowego).

Główną przyczyną tej oporności czytelnika jest konieczność, psychologiczna, folklorystyczna i artystyczna, pisania literatury regionalnej *w gwarze ludowej*. Co zostałoby z tetmajerowskiego arcydzieła „Na skalnym Podhalu“, gdyby twórca napisał je normalną literacką prozą? Inteligentny czytelnik uświadamia to sobie, gdy zechce, ale niestety, niezbyt często chce.

Radio swą bezpośredniością w podawaniu odbiorcy utworu gwarą pisanego drogą *fonetyczną*, oddać może poznawaniu tej literatury nieocenione usługi. Zdając sobie sprawę z kapitalnej wagi *sposobu nadawania* takich utworów, kierownictwo, słusznie omijając w tych razach normalne siły recytatorskie, angażuje do interpretacji przed mikrofonem wykonawców, związanych pochodzeniem i środowiskiem z prowincją czy okolicą Polski, w której dana gwara jest potocznym językiem jej autochtonów.

W ten sposób radiosłuchacze w utalentowanym autorze powieści z życia górników „Na podszybiu" i „Ognie w pirytach", Janie Waśniewskim, poznali również świetnego recytatora utworów pisanych w gwarze zagłębiowskiej, a ściślej mówiąc, olkuskiej — jak nas informuje autor w przedmowie do swej nowej książki, zbioru opowiadań górniczych „Po dniówce".

Folklor — to nie tylko stroje, zdobnictwo, obrzędy, na uroczystościach paradnie prezentowane ludziom z miasta i z trudem chronione przed niwelatorskim strychulcem cywilizacji współczesnej. Żywe słowo (nie tylko w pieśniach) jest, jako wykładnik pewnej duchowej odrębności grup etnicznych, co najmniej równie ważkim czynnikiem kultury ludowej, godnym opieki ludzi pióra, i poza gronem specjalistów etnologów, filologów i językoznawców. Beletrysta i poeta ma tu wdzięczne choć trudne zadanie: pogodzić najistotniejsze cechy danej gwary ludowej z postulatami gramatyki i pisowni normalnego języka literackiego; zwłaszcza autor wystrzegać się musi przeładowania tekstu takimi prowincjanalizmami, lub formami językowymi, których zrozumienie wymagałoby słowniczka. Uciekanie się do takiej pomocy zrazi i zniechęci przeciętnego czytelnika. Waśniewski wyszedł z tych trudności zwycięsko: w tomie „Po dniówce", liczącym około 300 stron, jest zaledwie (w odsyłaczach) kilka objaśnień kopalnianych terminów technicznych. Nie miałem sposobności poznać na miejscu gwary rodzinnych stron autora, a już po kilku kartkach czytałem jego tekst z całą swobodą; nie natrafiłem ani na jedno słowo, którego sens byłby dla mnie wątpliwy.

Sześć nowel, składających się na nowy tom Waśniewskiego, to opowiadania górnika-inwalidy, dziś nocnego stróża na kopalni. Prostymi artystycznymi środkami maluje autor, przez usta starego Banasika, zabarwione kolorytem lokalnym arcyludzkie sprawy, mocno i szczerze. Mimo tonu gawędy, konflikty dramatyczne, w które obfitują opowiadania, mają plastykę pierwszorzędną, dzięki swej wymowie wewnętrznej nie potrzebującej wielu słów. Ta oszczędność jakże harmonizuje z psychiką i opowiadacza i aktorów zdarzeń, ludzi prostych, zahartowanych w pracy twardej i niebezpiecznej! A końcowe wspaniałe opowiadanie „Downe casy" o honorze górniczym, który każe ratować z płonącego szybu śmiertelnego wroga i krzywdziciela, ma w sobie potężny patos, wstrząsający czytelnika dreszczem dumy z niespożytych wartości istotnego człowieczeństwa i wiarą, że mimo wszystko na co patrzymy, nie zmogą go i... „nowe casy"!

WACŁAW ROGOWICZ

Grey-Owl: „Ludzie z ostatniej granicy". — Warszawa 1938. Wydawnictwo J. Przeworskiego, przekład Aleksandra Dobrota.

Cywilizacja, jak pożar w dżungli rozlewa się dziś gwałtownie i brutalnie. Dociera do najdalszych krańców ziemi. Budzi je do życia, niosąc na swej fali kulturę i postęp. Ci jednak, co ją tworzą, stają się jednocześnie jej niewolnikami, bezdusznymi automatami, terających swe siły w walce o byt, aż wreszcie przestają widzieć coś innego poza konwenansem, ubranym w taką czy inną formułkę, obyczajem, kłamstwem i pustką. Przed taką cywilizacją, mechanizującą człowieka cofają się ludzie, którzy w niej żyć nie umieją, których gdzieś w głębi dzikich obszarów wychowała natura twarda i surowa, mająca oblicze swe niezmienione dotąd od czasu, kiedy wyszło ono z rąk stwórcy. Jednym z potomków tej rasy, niegdyś zdobywczej, dziś przez cywilizację wypieranej, jest niedawno zmarły, najgłośniejszy pisarz Kanady, indianin Grey Owl.

Cooperowski, wojowniczy romantyzm dzikiego Zachodu znikł dawno bez śladu. Bolesnym, niemym wyrzutem tej epoki, dla której słońce już zaszło, aby jutro ustać dla białego człowieka, są książki Szarej Sowy — Grey Owla. Są one apoteozą i poezją coraz cięższej rozpaczliwej walki jego czerwonych braci z dziką puszczą. Traper i myśliwy podąża coraz szybciej już dziś uciekającą na północ linią Zamierającej granicy. Drogę jego znaczy szlak. Nie jest on ścieżką romantycznej przygody. Pozostał do dziś widownią wszystkich dramatów, tragedyj i komedyj, jakie rozgrywają się w puszczy, próbą wartości człowieka, symbolem poświęcenia, ideałem, dla którego warto żyć. Pionierzy jego torują drogi, po których przejdą tysiące. Nie są jednak znani światu. Walczą do upadłego z przyrodą. W tej walce rodzą się i umierają. Kochają bowiem nade wszystko hazard i przygodę. W jej blasku życie nie nuży szarzyzną i monotonią. Jest porywające i heroiczne. Żywym jego pomnikiem jest twórczość Grey Owla. Ten „ostatni Mohikanin" korzy się przed dzikim, nieskazitelnym urokiem swej puszczy. Jednak mimo swej kultury, jak wszyscy Indianie chowa na dnie swej prostej duszy zabobonną wiarę w potęgę złych i dobrych duchów. Będąc początkowo sam zapalonym myśliwym zrozumiał pewnego razu podczas polowania na bobry, że więcej już nigdy nie strzeli do tego arcy-mądrego stworzenia. Odtąd zajął się nim, bronił go, a wreszcie pokochał gorąco swój bobrowy ludek i opisał jego życie. Jest to jeden z najpiękniejszych dokumentów odczucia i zrozumienia przez człowieka świata zwierzęcego.

Książki Grey Owla nie są ani nowelami, ani powieściami. Nie są stylizowane i „literackie". Są tym, czym jest opowieść starych, czerwonoskórych wojowników przy ognisku w dawno minionych czasach. Tym, czym było pożegnanie z życiem starego wodza Ne-ganika-abo na szlaku dwóch zachodów słońca — pozbawionym teatralnego gestu i sztuczności pierwotnym, patetycznym odruchem serca.

Grey Owl opowiada to, co przeżył i zobaczył. Autentyczność w jego twórczości wyciska swe piętno wszędzie. W każdym opisie, w każdym szczególe. Miejscami rozlewa się w niej czysty liryzm — w obrazach polowań, w opisach wędrówek po szlaku, w malowaniu świata zwierzęcego i ludzi.

Przede wszystkim jednak każda strona jego książki tchnie smutkiem i żalem za znikającą już z powierzchni ziemi twierdzą Czerwonych Bogów, za kurczącymi się coraz bardziej do niedawna bezkresnymi obszarami preryj, za tym wszystkim, co ucieka przed czyhającym nań przeznaczeniem, podąża za ostatnią linią granicy ku zapomnianym dniom, ku purpurowym w zachodzącym słońcu wzgórzom, ku krainie Cieni!

Cecil Lewis: „Pod szczęśliwym znakiem". Warszawa 1938. Nakładem T-wa „Rój".

Rzeczywiście, autor tej książki urodził się pod szczęśliwym znakiem. Jego drodze życiowej nie było sądzone rozwijać się bez wstrząsów, bez karkołomnych załamań, w sposób spokojny i planowy. Wojna światowa porwała go nagle, gdy miał niespełna 16 lat, w swój wir, uniemożliwiła mu studia, wyrwała z życia chłopca

brutalnie jego młodość, każąc mu odrazu, bez przejść stać się dojrzałym człowiekiem. Gdy umilkł huk armat, młody lotnik Cecil Lewis w stopniu kapitana rezerwy, wyrzucony został na brzeg życia tzw. normalnego.

„Nie skarżę się na ten stan rzeczy. Był to wspaniały wstęp do życia" — pisze potem w swych wspomnieniach. Czy ma rację? Czy to był tylko wstęp? Po przeczytaniu książki stanowczo powiemy — nie. Autor bowiem przeżył całego siebie i bez reszty mając lat 24. Te bowiem tygodnie, które spędził w powietrzu wśród grozy bitwy nad Sommą, te krótkie i postarzające o lata sekundy walk powietrznych, to ciągłe zaglądanie śmierci w oczy, tego wszystkiego jest razem aż za wiele na jedno zwykłe ludzkie życie. Przekonywa o tym każda strona książki, pisanej po blisko 20 latach. Nie jest ona powieścią. Jest raczej zbliżonym do formy pamiętnika autobiograficznym wyznaniem. Nad jego wartością literacką zaciążyła i przeważyła ją szczerość opisu autentycznych przygód i wrażeń wskrzeszających we wspomnieniu tych wielkich i okropnych dni, gorące umiłowanie przez autora swego zawodu, tęsknotę za warkotem w chmurach silnika, za słońcem, za wiatrem, za żywiołem. Po upływie tylu lat trudno odtworzyć minione chwile. Pamięć bowiem często łudzi i myli. Zmienia się w niej obraz przeszłości i mój własny. Dlatego też opowieść ta to raczej szereg zdjęć — wrażeń, wydarzeń, podanych bez silenia się na wydobycie efektu, bez literackiej przesady, a ot tak poprostu — z serca. „Może więc część tych szkiców — powiada autor — będzie zawierała niedokładności, ale istota ich oparta jest na zupełnej prawdzie. A muszę je opisać, bo zanikają one coraz bardziej, kogoś zaś może zaciekawią".

WŁADYSŁAW ROMANOWSKI

„Królewna Śnieżka". Według tekstu Walta Disneya napisała Irena Tuwim. Ilustracje Studio Walta Disneya. Warszawa, 1939. Wyd. J. Przeworskiego.

Disney staje się u nas coraz popularniejszy. Przemiłe kolorówki filmowe utrwalają się w postaci książek. Ostatnio ogromnym powodzeniem wśród młodocianej publiczności cieszył się długometrażowy film p. n. „Królewna Śnieżka". Pójdzie więc zapewne i książka według tego filmu zrobiona. Pójdzie, chociaż nie dorównywa filmowi wartością. Napisana jest tak, jak się pisze scenariusze — poprawnie, ale sucho i bez fantazji. Ilustracje Disneya wzięte z filmu, szkoda jednak, że nie kolorowe.

H.

Proces pokazowy

Przed Najwyższym Trybunałem w Nowym Jorku toczył się wielki pokazowy proces szpiegowski. Na ławie oskarżonych zasiadło 4 Niemców amerykańskich. Akt oskarżenia zawiera wprawdzie 18 nazwisk, ale główni oskarżeni zdołali zbiec i schronić się na terytorium III Rzeszy.

Prokurator oskarża więc niemal puste ławy, co nadaje procesowi niesamowity charakter

Jak zdemaskowano szpiegów?

Stopniowe wykrycie afery połączone było z olbrzymimi trudnościami. Natrafiano w poszukiwaniach stale na małe figury i drobne płotki roboty szpiegowskiej, gdyż główne asy były starannie chronione.

Z początkiem br. aresztowano w Szkocji fryzjerkę, Jessie Wallace Jordan, Angielkę, żonę obywatela niemieckiego. Sąd edynburski skazał ją w maju br. na 4 lata więzienia za szpiegostwo. Wszystkie nici prowadziły jednak do Stanów Zjednoczonych. Jessie Jordan otrzymywała listy z Berlina i wysyłała je dalej. Adresatami jej były również drobne pionki. Jej koleżanka Joanna Hofman, fryzjerka okrętowa na „Europie" należącej do Północno - Niemieckiego Lloydu. Eryk Glaser, szeregowiec 18 szwadronu wywiadowczego w Mitchel Field urodzony w Lipsku. Günther Rumrich, syn b. niższego urzędnika konsulatu austro - węgierskiego w Chicago, wychowany w Niemczech wrócił w 1929 r. do Ameryki. W 1935 zdezerterował z armii amerykańskiej. Ostatnio współpracownik szkoły języków Berlitza i fabryki chemicznej w Brooklynie.

Trójka ta zasiadła na ławie oskarżonych Czwartym oskarżonym jest Otto Herman Voss Niemiec naturalizowany w Stanach. Przed aresztowaniem był mechanikiem w „Gevensky aircraft plant" — fabryce samolotów w Farmingdale. Rumrich, który przyznaje się do winy i obciąża pozostałych oskarżonych jest zgodnie z amerykańską procedurą sądową świadkiem oskarżenia

„Główni winowajcy siedzą jednak w Niemczech — oświadczył prokurator w swej mowie oskarżycielskiej, wbrew ogólnie przyjętym zwyczajom w procesach szpiegowskich i mimo démarche ambasady niemieckiej w Waszyngtonie. Oto niektórzy z nich według aktu oskarżenia:

Dr Eryk Pfeiffer — szef niemieckiej służby wywiadowczej. Podpułkownik Busch, szef tajnego odziału kontrwywiadu. Herman Menzel, porucznik marynarki niemieckiej. Bodo von Bolmen, porucznik marynarki.

Pierwsze akty szpiegowskie stwierdzono już 1935 r. Od tego roku działali w Stanach Zjednoczonych m. in. William Lonkowski, który po ucieczce z USA otrzymał wysokie stanowisko w niemieckim ministerstwie lotnictwa. Werner G. Gudenberg, rzeczoznawca dla spraw lotniczych i Dr Ignacy Griebl o którym wspomnimy jeszcze dalej. Ci ostatni wraz z kilku jeszcze kompanami zbiegli do Niemiec.

Sieć szpiegowska

Szpiedzy mieli swych agentów na okrętach Północno - Niemieckiego Lloydu, Linii Hamburg — Ameryka, w armii U. S. A. i w zakładach uzbrojenia. Pod kierownictwem doświadczonych specjalistów z Berlina dokonano kradzieży planów lotniskowców i samolotów najnowszej konstrukcji. Banda sfałszowała podpis prezydenta Roosevelta i przy pomocy tego podpisu otrzymała z ministerstwa marynarki szczegółowe plany i dane dotyczące atlantyckiej floty U. S. A. Na pokładzie parowca „Europa" wyjmowano z worków pocztowych dokumenty i fotografowano je.

Szpiedzy niemieccy działali ręka w rękę z wywiadem japońskim, z którym wymieniali zdobyte plany.

Nowojorski Henlein

Wróćmy do Dra Ignacego Griebla. Podczas wojny światowej odbywał on służbę w armii niemieckiej. Po wojnie wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, studiował medycynę i następnie naturalizował się rozpoczynając praktykę lekarską w Nowym Jorku. Ale Dr Griebl był nietylko lekarzem, lecz również i członkiem „uciśnionej mniejszości niemieckiej". Jako prezydent „Ligi przyjaciół nowych Niemiec" (obecnie Związek Niemiecko - Amerykański) konspi-

rował od wielu lat ze wszystkimi możliwymi wrogami demokracji amerykańskiej. Przy pomocy dobrze opłacanych (wiadomo skąd) bojówek brunatnych tworzył front nazistowski wśród emigracji niemieckiej. Głośny był jego kontakt z agentem niemieckim Heinzem Spanknoblem. Był również wzywany przed parlamentarny komitet celem złożenia zeznań o działalności narodowych „socjalistów" w Ameryce. Tenże Griebl był właśnie kierownikiem zdemaskowanej bandy szpiegowskiej i głównym łącznikiem z Berlinem. Umożliwił on ucieczkę Lonkowskiemu i sam niedługo potem zbiegł — niemal w ostatniej chwili przed zamierzonym aresztowaniem go — do Niemiec, gdzie i bez paszportu przyjęto go z honorami.

Dlaczego proces pokazowy?

Nadużywanie mniejszości niemieckiej dla politycznych afer, połączenie mistyki rasowej ze szpiegostwem, skłoniło władze amerykańskie do urządzenia jawnego i pokazowego procesu mimo niemieckich protestów dyplomatycznych. Dzienniki amerykańskie alarmują w związku z procesem opinię publiczną informacjami o tajnej i nielegalnej działalności hitlerowskiej nietylko w Stanach ale i w południowej Ameryce. Tak np.w Brazylii wymuszono ostatnio odwołanie posła niemieckiego Rittera, który popierał tendencje puczystowskie wśród Niemców brazylijskich.

Czy tylko w Ameryce prowadzona jest krecia robota hitlerowskich agentur?

KSIĄŻKI NADESŁANE

Księga Pamiątkowa na dziesięciolecie dziennika *„Czas"* (1848 — 1938). Księga zawiera działy: historyczny, polityczny, artystyczno-literacki i gospodarczy. Księga obejmuje 210 stronic, a na jej treść złożyły się prace dziewięćdziesięciu kilku autorów.

Tadeusz Frenkiel: Mieczysław Frenkiel. Warszawa 1939. Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

Materiały i prace — zeszyt 6. Zagadnienie wsi i gospodarstwa wiejskiego w Polsce. Wydawnictwo Obozu Zjednoczenia Narodowego. Warszawa 1938.

Od Wydawnictwa

Abonentów,

którzy

zalegają

z opłatą prenumeraty za

kwartał ubiegły i bieżący

prosimy

o uregulowanie

należności

REDAKCJA I ADMINISTRACJA. WARSZAWA. UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K O. 26 630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5605 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.